Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1891. Rok XIV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs. 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Zdolności umysłowe u zwierząt

przez

Kazimierza hr. Wodzickiego.

(Z pozostałych rękopisów).

(Dokończenie.)

III.

Szeroko można by się rozpisywać, zbierając dowody uwagi i przytomności umysłu papug, tak popielatych jak i zielonych. Podam tu jedynie te, które od młodych lat zaryły się w mej pamięci, a wystarczą one na udowodnienie myśli, pracującej u tych ptaków.

U mojej znajomej popielata papuga rzeczywiście ze swą panią rozmawiała. Dnia jednego posłaniec wszedł do salonu i oddał list, czekając na odpowiedź. Pani poszła do drugiego pokoju pisać, posłaniec zaś, nie mogąc się oprzeć pokusie posiadania pięknego ptaka, odczepił łańcuszek, wziął papugę i schował ją do kieszeni. Gdy mu pani oddawała list, papuga wołać poczęła, słysząc głos swej opiekunki, z głębi ubrania: „A ja jadę, a ja jadę“. Pani spostrzegła oczywiście, że papugi na szteludze nie było, więc z wielkim wstydem złodzieja wyjęła mu ją z kieszeni.

Inna papuga, również popielata, wołała, gdy jej pan wchodził rano do sali jadalnej: „Jasiu dawaj kawy!“ Gdy się przy stole śmiano, ona się śmiała śmiechem ludzkim, coraz głośniej. Gdy kto powiedział: „Napijmy się!“ ona naśladowała strzał z butelki szampańskiego wina, i trafnie szepleniąc nibyto wlewała wino.

Przywiązanie tych ptaków z długoletnim żywotem do ludzi bywało widoczne i rzeczywiste; niekiedy kończyło się głodową śmiercią.

Są papugi, które się same uczą wyrazów i najtrafniej je umieją zastosować. Pamiętam papugę zieloną, rozgniewaną z powodu, że na nią uwagi przy obiedzie nie zwracano i pokarmu nie dawano. Wśród ożywionej rozmowy, wymawiała wszystkie jej znane wyrazy i powtarzała je ustawicznie, dopóki jej nie zaniesiono biszkopta w winie umaczanego. Powodów antypatyi i sympatyi papug, graniczącej z namiętnością, niekiedy pojąć i odgadnąć nie można.

Szpak bywa też dziwnie rozwiniętego umysłu. Starsi ludzie pamiętać muszą szpasia księdza Jana we Lwowie. Zakonnik posiadał rozumnego i wygadanego szpaka, lecz ten sprzeniewierzył się raz, wyleciał przez okno i w jesieni zespolił się z szpakami w stadzie. Na nieszczęście naszego szpasia ptasznik złowił to stado i począł dusić jednego po

drugim. Gdy kolej nadeszła na wyuczonego, on zawołał z pod szubienicy: „Szpasio księdza Jana“. Zdumiony ptasznik, widząc zaczarowanego ptaka, zawołał: „Co ty tu robisz?“ a szpasio odpowiedział: „dla kompanii“. I w ten sposób uratował swe życie i powrócił do swego pana.

Pamiętam ptaka wygadanego jak przekupka, który wołał, gdy mu zapomniano dać pożywienie: „Daj robaka!“ i powtarzał dopóty, dopóki go nie zaspokojono — i wiele innych, powiedziałbym myślących szpaków.

Co do mnie, nie ulega to wątpliwości, że człowiek wykształca umysł zwierząt, gdyż częstokroć spostrzegamy u nich emanacyę naszych myśli i pracy umysłowej w kierunku zupełnie innym, jak ten, którym się kierowały, żyjąc na wolności. Patrząc i słuchając nas, wytwarzają pomysły i kształcą pamięć. W cyrkach i w teatrzykach z psami i małpami mamy istotną szkołę do uzupełnienia naszych badań. Są tam wyniki rozmaitych prób kształcenia sprytu, rozumu, zręczności i pamięci, również stopnie nieradności, głupoty, tchórzostwa bez granic i braku pamięci, uczucia i obojętności.

W tych zwierzęcych akademiach odznaczają się zazwyczaj pudle. Między innymi był jeden, którego podziwiałem dla jego rozumu; odgrywał on swą rolę widocznie ze świadomością i z wykończoną akuratnością, a patrzył zawsze w oczy swego pana, jak gdyby chciał odgadnąć jego myśli i życzenia. Produkcye odbywał niekiedy z przesadą i namiętnością. Przypominam sobie, jak dwa razy w swej gorliwości okopcił się i poparzył, naganiając towarzyszów. Za tego psa, jako podstawę mych studyów, byłbym właścicielowi zapłacił, coby był żądał, lecz mi odpowiedział: „Musiałbym bez niego teatr zamknąć na czas dłuższy!“. Śmieszne to powiedzieć, lecz tak było rzeczywiście. Bruno (tak się zwał ów pudel) był korepetytorem innych psów i nieraz widziałem, jak pokazywał sztuki wobec patrzących na niego psów.

Jeden z właścicieli teatrzyku wyliczał mi szeregi psów nie przyjmujących nauki, a jak twierdził, główna przeszkoda była najczęściej w braku odwagi i sprężystości. Tchórzliwy pies, co i w psach myśliwskich zauważałem, wyjątkowo tylko przyjmował dresurę.

Rozum małp, według mego doświadczenia, przeceniono tak na wolności jak i w niewoli. Wprawdzie małpa myśli i pamięta, lecz nigdy mi nie złożyła dowodów samodzielnie obmyślonego czynu; ma natomiast wielki dar naśladowania ludzkich zajęć, co jej się wszakże nie zawsze na pożytek obraca. I tak, pozostawiona w pokoju, tarła raz małpa zapałki i cieszyła się ogniem, nareszcie zajęła się kapa na stole, łóżko i firanki i żeby nie dym buchający przez okno, który ratunek spowodował, byłaby dom spaliła i sama w ogniu zginęła. Inna małpa, przypatrując się goleniu swego pana codziennie, uznała nareszcie potrzebę ogolenia swej mordeczki, a uchwyciwszy pozostawioną brzytwę, umydliła głowę, lecz zamiast się ogolić, poderznęła sobie gardło i zginęła.

Sądząc według opisów podróżnych, myśliwych i badaczów przyrody, nie przedstawia się słoń na wolności jako zwierzę odznaczające się rozumem; dopiero w styczności kilkuletniej z człowiekiem, rozwija się w tem zwierzęciu praca umysłowa, zaiste zdumiewająca i pamięć niepospolita przy widocznem uczuciu. Opis dowodów rozumu słonia zapełniłby całą książkę. Wyraźna tam i widoczna praca umysłowa, oraz antypatya i sympatya kierujące jego uczuciami, również zdumiewająca pamięć. Opowiem tu tylko dwa zdarzenia.

Na Glasis w Wiedniu, za moich studenckich czasów, była menażerya i dwa słonie przy końcu budy, widzialne i przystępne dla publiczności, dostarczającej im bułek i jabłek. Na nieszczęście słoniów, koło tej budy szkolna młodzież swawolna dwa razy na dzień przechodziła i różnymi sposobami dokuczała słoniom. Do pewnego czasu słonie z rezygnacyą znosiły nieprzyjemną igraszkę, nareszcie jednego dnia skrajny słoń nabrał w trąbę swoją wody od sąsiada, a gdy się przed klatką pojawili studenci, takim ich oblał promieniem wody, że poszli mokrzy jak z kąpieli.

Lat temu kilkanaście, stary słoń, widząc nad ranem wychodzącego obcego człowieka, wynoszącego duże zawiniątka korytarzem, trąbą go przytrzymał i nie puścił, dopóki dozorca nie nadszedł. Okazało się, że był to złodziej, który całą garderobę z cyrku wynosił.

Na wolności przedstawiają nam szczyt pracy umysłowej wilki, odznaczają się myślą, pamięcią, układaniem planów, wiernem ich wykonaniem, przemyślnością, podstępem i zmową. Po wilkach idą zaraz lisy, odznaczające się także pracą umysłową. Kiedy inne zwierzęta na wolności tyle tylko mają sprytu, ile im potrzeba do zaspokojenia potrzeb i zabezpieczenia rodu i dopiero w obcowaniu z człowiekiem wykształcają umysł — wilki i lisy, najprzebieglejsze zwierzęta na wolności, w niewoli nie korzystają z człowieka, nie przyjmują dresury i nauki, zachowują swe niebezpieczne nawyczki użyć się nie dają pożytecznie i najczęściej giną śmiercią za popełnioną zbrodnię.

Wilki plany wspólnie układają i wspólnie z wiernością i akuratnością je wykonują. I tak, dwa lub trzy wilki polują na sarny, jeden goni, a tamte siedzą na obmyślonych stanowiskach i żadna pokusa ich z miejsca nie ruszy, dopóki towarzysz nie przypędzi ofiarę lub oznajmi, że się łowy nie udały. Z bydłem to samo czynią i wtedy czatującemu może przebiegnąć koń, a on się za nim nie puści, gdyż się zobowiązał czekać na przygonioną sztukę. Śnieg, ten wielki zdrajca tajemnic przyrody, wyraźnie nam pokazuje obrazki z ich rabusiowskiego życia. Wilki najczęściej rekognoskują budynek na dzień lub kilka dni przed napadem, obchodzą go do koła z bliska i z daleka, jak gdyby pragnęły poznać dokładnie stopień niebezpieczeństwa. Niekiedy tydzień minie, a wilki się nie pojawiają, zdawałoby się, że to czynią dla uspokojenia mieszkańców, nareszcie, podług uchwały i planu obmyślanego, rozbierają ścianę chlewa lub wydrapują dziurę w dachu lub podkopują się, co jest najtrudniejszym sposobem napadu w czasie mrozów. To też z dziwną zmyślnością dzielą te pracy na kilka nocy i, to nie jedna po drugiej, aby się nie zdradzić, a dostawszy się do środka, zapamiętale duszą co żyje w budynku zdobytym, poczem części ścierwa lub mniejsze sztuki unoszą ze sobą.

Pomimo, że to psi ród, bardzo smakują wilki w psiem mięsie i zawzięcie na nie polują, również z wyrafinowaną przebiegłością. I tak jeden wilk wskakuje na podwórze włościańskie, a gdy pies poczyna szczekać, wilk przez płot i w las niby to ucieka. Pies, widząc przed sobą takiego tchórza, w pogoń biegnie za nim i oczywiście ginie. Przypominam sobie dwie wsie w górach, w których trzy wilki, istne raubrittery, wyjadły wszystkie psy i był oczywiście u mieszkańców wielki lament z powodu braku stróżów do stad na połoninach. Rozumne to były zwierzęta owe wilki, przez całą zimę bez skutku na nie polowano, tak się szczęśliwie wymykały, lub też po spełnionem morderstwie biegły aż do Węgier.

Jeszcze jeden wypadek z wilkiem. Chłop z nieczułością jemu właściwą oparzał żywą świnkę, kwiczącą oczywiście nad miarę. Kwikiem tym zwabiony wilk, zasiadł za płotem i przypatrywał się operacyi, jak gdyby sobie myślał, że oprawca sobie pójdzie. I tak się stało; chłop poszedł do chaty,

wilk zaś przez płot wskoczył na podwórze, uchwycił zdobycz i pocwałował przez otwartą bramę.

Trzech nas patrzyło raz na takie przedstawienie: Jeden wilk rosłą świnię ciągnął za ucho, a drugi, kąsając po szynkach, popędzał ją. Działo się to na przeciwległym pagórku bez śniegu. Wymowny kwik świni uratował jej życie, lecz sprawców ubić nie zdołano. Czy tu nie widoczna zmowa i plan ułożony.

Zajmujący widok przedstawia wilk, gdy na pastwisku pełza podkradając się pod konie i bydło; jak on wybiera wyższe trawy i jaki się płaski robi, aby nie być spostrzeżonym. Niekiedy z podziwienia godną cierpliwością podsuwa się, obmyśliwszy pierwej swój plan ataku. Polując na mniejsze warchlaki, używają znowu innych sposobów: jeden wilk z przodu atakuje, nadskakując drażni ustawicznie samurę, która w przekonaniu, że broni dzieci, nim tylko zajęta i w tył się nie ogląda, tam zaś inne wilki duszą zręcznie warchlaki, a udusiwszy kilka uciekają i dopiero w nocy lub w drugiej dobie przybiegają spożywać zdobycz.

Zdaje się, że u wilków zarządza wszystkiem jeden organizator i naczelnik uznany i słuchany. Najczęściej bywa to przodkująca wilczyca, jak i u innych gromadnie żyjących zwierząt bywa samica. Zresztą wilk to tchórz z natury, uwidocznia to dostatecznie na polowaniach tak w polu jak w lesie; jedynie głód nadaje mu rozpaczliwą odwagę. W znacznej liczbie staje się groźnym, w czasie tyczni zaś jest niebezpiecznym zwierzem.

Czy to wyrok śmierci, wydany przez naczelnika, czy przypadek, odgadnąć nie mogę, zdarza się wszakże, iż wilki rozszarpią wilka.

Obcowałem z kilkoma tak zwanymi wilczarzami, którzy zaiste sprytem dzikich ludzi odkrywali i wynajdywali wilczęta i nosili do urzędów, zarabiając po kilkadziesiąt reńskich rocznie premiami. Dziś ci ludzie podziwienia godni wymarli, zastępców nie zostawili. Znali oni dokładnie naturę i zwyczaje wilków; za wilczycą tropili zda mi się wiatrem, bo ślady były prawie niewidzialne; tu zagięta trawka, tam otrzepane krople rosy, to znowu na ziemi wygnieciona piętka, wystarczało to dla nich i dochodzili do celu. Tak u lotnych drapieżców jak i u ssaków, bezpieczeństwo własnego życia góruje nad uczuciem rodzicielskiem. Otóż wilczarze twierdzili zgodnie, że nie trafiło im się nigdy w życiu, aby wilczyca swych wilcząt broniła; szła za wilczarzem niekiedy do wsi, wyła, lecz nie atakowała nigdy człowieka. Jeden z nich opowiadał mi o wilczycy, której już kilka razy ukradł był wilczęta. Ta nieszczęśliwa matka w swym niepokoju ustawicznie przenosiła dzieci z miejsca na miejsce, a że wilczarz czekał na podrośnięte, więc przez tydzień badał tę troskliwą obawę matki. Stosunek wilka do wilczycy i wilcząt szczególny; niby on mąż i ojciec, donosi niekiedy pożywienie, później prowadzi na łowy, lecz zachowuje wolność i bardzo często nie bywa w lesie przy rodzinie.

W ogóle przezorność, stanowczość i zręczność u wilka zadziwiające, nie można mu odmówić wyrafinowanej pracy umysłowej, a siła bardzo znaczna, skoro konia lub bydle dorosłe zdoła powalić na ziemię. Dodać należy do tego wytrwałość niepojętą w chodzie. Niekiedy po kilka i kilkanaście mil przebiegną wilki jednej nocy, widocznie jak tego wymaga ich bezpieczeństwo, szczególniej po wyrządzeniu wielkiej szkody. To znowu nas czasem zadziwiają wyjątkowymi czynami.

I tak, chłopiec pod lasem zamykał, jak myślał, przed dużym psem drzwi, ten zaś silniejszy, otworzył je, przebiegł po pod nogi chłopcu, złapał prosiaka i wyniósł się w okamgnieniu. To znowu w stodole chłopskiej położyło się pięć wilków w czasie sianozbiorów. Rano dziewki, nocujące na strychu, zobaczywszy te psy, poczęły krzyczeć i na nie rzucać kamieniami, wilki zaś, jak swojskie psy, leżały spokojnie patrząc do góry; dopiero na lament dziewek nadszedł gospodarz i wypędził tych czworonożnych złodziei. To zdarzenie w tym samym dniu opowiadały mi dziewczęta.

Na ludzi wyjątkowo tylko rzuca się wilk. W moim majątku miałem wszakże dwa wypadki porwania dzieci przez wilka, a w obu odbito dzieci i uratowano.

O oswojeniu zupełnem wilków mowy nie ma; zawsze zostaną niebezpiecznymi towarzyszami, a pożytku z nich człowiek w żadnym kierunku nie odnosi. Złapany w dołach wilk jest wielkiej pokory, nawet bity drągami nie broni się; przed chartami ratuje się ucieczką, a jeżeli stanie i odgryza się, to dopiero w chwili, w której mu psy do skóry się dorwały, wszakże chwilkę potem umyka dalej. Czasem robi inaczej; zabezpieczony grubą swą skórą, dozwala się powalić, widocznie odpoczywa, niebawem wszakże zrywa się i pędzi dalej. Nie pamiętam zdarzenia, aby psy wilka na śmierć zadusiły, jak to bez wysilenia czynią z warchlakami i rocznymi nawet dzikami.

Już w moich zapiskach myśliwskich opisałem ciekawe i wyjątkowe dla mnie zdarzenie, mianowicie, że wilk, goniony przez trzy ogary, w naszych oczach się na polance odwrócił, sukę udusił i pocwałował dalej.

Widocznie do rodziców nie mają wilczęta zaufania, w niebezpieczeństwie ani za ojcem ani za matką nie chodzą, lecz każdy zbrodniarz wynosi się osobno i szuka ratunku już własnym rozumem i sprytem.

Siła muszkularna wilka w karku jest niepospolita; niekiedy ze znacznego oddalenia niesie barana lub świnkę wilczętom. Również siłę szczęk i zębów podziwiać musimy, widząc, jak szarpią ścierwo i odrywają kawałki mięsa po kilka kilo.

Nie skończyłbym rozdziału tego, gdybym chciał spisywać rozliczne zdarzenia, dowodzące pracy umysłowej, pamięci i umiejętności w korzystaniu ze zdobytego doświadczenia u zwierząt. W ich mózgownicach zamieszkuje duch pracujący i ten śledzić, jest zajmującem zadaniem badacza.

Instynkt kieruje rodzajami i gatunkami, a rozum w rozlicznych stopniach osobnikami; nawet wady i przymioty można w zwierzętach obserwować, jak w człowieku.

Lis swem życiem, zwyczajami, nabytem doświadczeniem, wykształconym sprytem i przebiegłością potwierdza wyż wypowiedziane zdanie, a każdy myśliwy je potwierdzi. I tak, z tego samego gniazda i rzutu, odznaczają się lisy odrębnością charakterów; w miocie tym samym widzimy lisiaki, uciekające przed nagonką lub psami, jak zaślepione, widocznie z jedyną nadzieją ratunku w ucieczce; nie patrzą one i nie słuchają, lecz pędzą co sił starczy. Inne kierują się już darem ostrożności; wykradają się tajemniczo, wietrzą, słuchają z wytężonym wzrokiem, pełzają gąszczami; im każdy krok ważny i każdy chcą spożytkować, bo przeczuwają grozę niebezpieczeństwa i wysilają się na wyszukanie środków do ratunku. Są to już ukończeni zbrodniarze w najmłodszym wieku.

Nie chcąc się o tych chytrych złodziejach długo rozpisywać, muszę jedynie charakteryzujące epizody przytoczyć, aby się każdy przekonał o prawdzie mego twierdzenia.

Lis, jak w ogólności złodziej każdy, jest tchórzem, a niekiedy znowu determinowany i odważny aż do podziwu

jeden siłą i wytrwałością w pogoni, inny sprytem i cierpliwością zabezpiecza życie.

Znanem jest wszystkim polowanie lisów na zające. Przy ponowie, gdy śnieg w kształcie mączki lasy zaścieli, wtedy to każdy lis za tropami chodzi i bierze zająca w kotlinie lub ściga go i chwyta. Przypominam sobie lisa, który siedm zajęcy ruszył, wszakże żadnego nie złowił, cośmy naocznie na tropach skonstatowali; w dwóch zaś miotach przez tydzień lisy złowiły 18 zajęcy i poszarpały. Nieraz jednak, wśród wrzawy naganiaczy, lisy polowały z nami wspólnie i kilkakrotnie słyszeliśmy ten pogrzebowy lament „kniaź, kniaź“ biednego zająca, najczęściej przyniesionego, w konaniu będącego, lub też już nieżywego.

Nikt by nie uwierzył, a byłem świadkiem naocznym następującego zdarzenia. Mój sąsiad złożył się, odjął strzelbę, dziwny ruch swym ciałem odbył i nareszcie strzelił. Owoż na jego stanowisko przed nagonką wyszedł lis, niosąc w pysku zająca, widocznie bez wysilenia.

Zdarzyły się w moich lasach trzy wypadki zjedzenia sarniąt przez lisy, które je zgoniły do upadłego, a dwa razy widziano jak liszka z lisiątkami obstąpiła sarniątko i uczyła młode szarpać ofiarę. Jedna z nich życiem przypłaciła tę lekcyę, druga z młodymi pożarła sarniątko. Może być, jak twierdzą myśliwi, że w głębokich śniegach łowi lis dorosłe sarny, wszakże z własnego doświadczenia tego potwierdzić nie mogę.

Jeszcze to było za czasów polowania z ogarami, gdy w dwóch miotach ucinały nam zawsze psy w tych samych miejscach i polowanie się na niczem kończyło. Otóż mój, rzeczywiście dziki z pod czarnej gwiazdy dojeżdżacz, klnąc co piekło podszeptało, spluwając ustawicznie orzekł, że to czary i zaklęte lisy czy zające, gdyżeśmy nie wiedzieli, jakiego zwierza psy goniły. Oczywiście zaciekawiony polowałem w tej kniei jak najczęściej i nareszcie przyszła kryska na Matyska; ubiliśmy dwa lisy, jednego zdradziła ruszająca się kita pod konarem, drugiego wyciągnęliśmy z dziupła guziastej lipy...

* * *

Na tem urywa się rozprawka śp. Kazimierza hr. Wodzickiego. Nieubłagana śmierć przerwała dalszy wątek spostrzeżeń, czerpanych z długoletniego doświadczenia i znakomitej wiedzy naszego myśliwego i przyrodnika. I w tej wszakże formie, jak jest, bez końcowych wyników, pozostanie powyższa rozprawka ciekawym pomnikiem studyów śp. K. hr. Wodzickiego.

We wspaniałym świecie stworzenia dał nam Stwórca wieczną zagadkę bytu do odgadywania, dozwolił nam wsłuchiwać się w harmonię formy i ducha i badać ich związek. I właśnie wśród badania przejawów ducha w całym świecie żyjących istot, wytrąciła śmierć badaczowi pióro z ręki, jakgdyby chciała mu powiedzieć: „Chodź teraz w blaskach wieczności widzieć i poznać to, coś nadaremnie silił się zbadać okiem śmiertelnem. Pan wyzwala cię z więzów doczesnych, abyś objął całą jego wielkość, mądrość i potęgę“...

STARY MNICH.

Opowiadanie z Karpat siedmiogrodzkich

przez Edwarda Czynka.

(Z niemieckiego)

Było to w sierpniu. Dnie były niezwykle gorące, noce także nie zbyt chłodne — gdy ja, jako młody jeszcze chłopak pod opieką ojca, udałem się w góry, w celu polowania na kozice. Powoli i z trudem drapaliśmy się wśród przepaści po niedostępnych prawie skałach. Pot kroplisty występował nam na skronie, pod nogami usuwały się łomy kamienia — wreszcie po uciążliwym marszu, dotarliśmy do miejsca, które mój ojciec na nocleg wybrał.

Przewodnikiem i towarzyszem naszym w tej podróży, był pewien stary Rumun, który minęo siedmdziesiątki, z największą łatwością jak młodzieniaszek przeskakiwał rozpadliny i potoki. Piersi i szyja tego starca zimą i latem były odkryte, a bystre siwe jego oczy, tryskające ogniem i życiem, patrzyły na świat, jak oczy sokoła.

Starzec ów wzrósł i wychował się prawie z moim ojcem, szczycił się przeto jego przyjaźnią. Nic też dziwnego, że przyjaźń ojca przeniósł i na syna, t. j. na mnie, za co mu bardzo byłem wdzięczny, gdyż oprócz wskazówek, tyczących się myśliwstwa, dawał mi ten starzec wiele rad zdrowych, potrzebnych na całe życie.

Po uciążliwym pochodzie rozłożyliśmy się na nocleg, pod starą niebotyczną sosną na niewielkiej polance. Stary Jan (tak się bowiem ów Rumun nazywał) wkrótce nagromadził gałęzi, aby rozniecić ogień na noc i postawił na ogniu swój nieodstępny garnek z mamałygą.

Księżyc bladem swem światłem, dodawał wiele uroku naszemu małemu obozowi. Milcząc siedzieliśmy i przypatrywaliśmy się iskrom, sypiącym się z ogniska. Starzy pykali swe krótkie fajeczki, ja zaś bawiłem się z chudym starym kundlem, nieodstępnym towarzyszem Jana, rzucając mu od czasu do czasu kawałki mamałygi.

Imponująca cisza panowała w około. Chwilami przerywał ją plusk wody, skaczącej po skałach płynącego obok potoku, lub trzask gorejącego ognia.

Wtem ojciec mój przerwał tę ciszę, zwracając się do starego Jana:

— Co się dzieje ze starym mnichem? — zapytał — Widziałeś go? Czy żyje jeszcze?

— Nie, panie — odparł stary — zmarł przeszłej zimy, zapisawszy Skitowi (klasztorowi), wbrew oczekiwaniu, dość znaczną sumę pieniędzy, z poleceniem, by się modlono za jego duszę.

Ojciec nic na to nie odpowiedział i milcząc dumał dalej. Mnie jednak ów tajemniczy mnich, o którym wiele

słyszałem, nie dawał spokoju; zacząłem tedy prosić starego Jana, aby mi, nim się do snu ułożymy, cośkolwiek o nim opowiedział.

— Chętnie — odparł Jan, a wskazując na ojca dodał — ale mi Pan będzie musiał gdzieniegdzie coś pomóc w opowiadaniu, bo go Pan tak samo znał jak ja, a może i lepiej.

Ojciec uśmiechnął się zlekka, a stary Jan nałożywszy świeżą fajkę i splunąwszy parę razy, tak rozpoczął swe opowiadanie:

— Było to w jesieni roku 1825. Idąc pewnego razu za tropem postrzelonej niedźwiedzicy, zapędziłem się nad brzeg głębokiego jaru; tu niespodzianie napadnięty zostałem przez ogromną jakąś sukę, która się na mnie z wściekłością rzuciła. Już chwyciłem za strzelbę, by się od niej uwolnić, gdy wtem donośny świst odwrócił uwagę suki odemnie. Oglądnąłem się w stronę, skąd świst pochodził i ujrzałem o kilkanaście kroków przed sobą starca z długimi włosami i dużą szpakowatą brodą, ubranego w grubą włosienną koszulę, i wysoką filcową czapkę, jaką zwykli nosić mnisi wołoscy. Na powtórne gwizdnięcie tego człowieka, suka, warcząc głucho, ułożyła się u nóg jego. Stary mnich — on to był bowiem — trzymał w prawej ręce śliczną, srebrem i perłową macicą wykładaną strzelbę. Na pozdrowienie z mej strony, zapytał mię przyjaźnie, co mnię w ten dziki jar sprowadza. Opowiedziałem mu tedy przygodę moję z postrzelonym mysiem, a on, uśmiechnąwszy się zlekka, zaprowadził mnię na miejsce, i tam na gałęzi wyniosłej sosny ukazał mi ubitą już niedźwiedzicę.

— Pies mój — rzekł stary mnich — wytropił ją, ja dobiłem.

Dowiedziawszy się tak o losie ściganej przezemnie niedźwiedzicy, mimowoli rzuciłem okiem w koło siebie i ujrzałem wśród gałęzi i chrustu ukryty wchód do jaskini. Wielki drewniany krzyż, stojący u wejścia do jaskini, upewnił mnię, że mam do czynienia z pustelnikiem.

Mnich zaprosił mnię gościnnie, abym odpoczął na darniowej ławie i zabrał się wraz ze mną do obielenia niedźwiedzicy. Sukę, ciągle jeszcze warczącą na mnie, musiałem udobruchać kawałkiem mamałygi i bryndzy.

Nowy mój znajomy zdawał się mieć szczególne ku mnie zaufanie. Gdy go zapytałem, czyby mu może do jego pustelni jakich wiktuałów lub czegoś podobnego nie przysłać, odpowiedział:

— Nie, bracie, dziękuję ci, mam wszystkiego dosyć dla siebie, lecz gdybyś mi chciał przynieść trochę prochu i ołowiu, bardzo byłbym ci wdzięczny.

Od tego czasu, często, w każdej porze roku, zaglądałem do pustelni, przynosząc ze sobą amunicyę. Często polowaliśmy razem z mnichem i wspólnie przepędzaliśmy w tych niedostępnych puszczach po parę tygodni. Nieznacznie tedy zawiązała się między nami przyjaźń.

Tak upłynęło dziesięć lat znajomości mojej z tym zagadkowym starcem, gdy razu pewnego, przybywszy do pustelni, zastałem go chorego i bardzo zmienionego.

— Chwała Bogu, już koniec — rzekł do mnie ów, do niedawna tak dzielnie trzymający się starzec.

Pocieszyłem go, jak mogłem, zabawiłem jakiś czas, a żegnając się z nim, obiecałem znowu za kilka dni go odwiedzić.

W istocie wróciłem do niego za kilka dni, ale jakże do niepoznania zmienionym zastałem mego starego, poczciwego przyjaciela! Blady, z przymkniętymi oczyma, bez żadnych prawie oznak życia, leżał w swojej jaskini. Już zdawało mi się, że życie uszło z tego żelaznego ciała, gdy wtem, otworzywszy oczy i podając mi rękę, prosił, bym usiadł przy nim na posłaniu. Podałem mu moją manierkę, a gdy wbrew zwyczajowi — nigdy bowiem przedtem nic prócz wody przez usta jego nie przeszło — trochę się wódki napił, zdawało się, że życie wstąpiło na nowo w to stygnące ciało.

— Bracie — rzekł do mnie po chwili — chcę zrobić testament, i opowiedzieć ci historyę mego życia. Ty jeden jesteś człowiekiem, którego zawsze mile przy sobie widziałem, którego, jako prawdziwego człowieka poznałem. Wszyscy inni, to były dzikie bestye... Zanim przed nimi uciekłem, zawsze mi tylko złe wyrządzali i nienawiścią pałali ku mnie... Przebaczam im jednak w zbliżającej się ostatniej godzinie mego życia...

Łzy zakręciły mi się w oczach, on zaś, ująwszy mnie za rękę, słabym głosem tak dalej mówił:

— Pochodzę ze znanej szlacheckiej rodziny mołdawskiej. Mój ojciec, który wcześnie stosunkowo zeszedł z tego świata, prowadził lekkomyślne i rozwiązłe życie. Po śmierci zacnej mojej matki, którą rozpacz i smutek do grobu zbyt wcześnie wpędziły, nie przypominam sobie ojca, jak tylko w złem towarzystwie i przy zielonym stoliku. Dla mnie wstrętnem było patrzeć na taki sposób życia, dlatego też, zaraz po ukończeuiu gimnazyum w Bukareszcie, opuściłem dom rodzicielski i udałem się do Zurychu a potem do Paryża na studya medyczne. Życzeniem mojem było zostać lekarzem.

Ojciec nie miał czasu zajmować się wychowaniem młodszego brata, więc tembardziej nie troszczył się o mnie. Czasami tylko, po długich pisaniach i prośbach, otrzymywałem jaki taki zasiłek pieniężny, i dlatego w najopłakańszych stosunkach musiałem kontynuować swe studya. Brat mój wcale nie miał ochoty do nauki, dlatego też pozostał w domu, aby niestety wstąpić w ślady ojca. W trzy lata po wyjeździe moim z domu, otrzymałem nagle od brata zupełnie zimne doniesienie o śmierci ojca. Wzywał mię zarazem do powrotu. Ojciec został przez jednego ze swych nieszczęsnych przyjaciół, któremu uwiódł żonę, zabity.

Mimo bezrozumnej rozrzutności ojca mego i brata, pozostał jeszcze dość znaczny majątek. Postanowiłem tedy oddać się gospodarstwu i sprawy majątkowe przyprowadzić do porządku. Bratu jednak wcale się to nie podobało, i postanowiliśmy dziedzictwo ojcowskie między siebie podzielić. Od tej chwili stał się brat najzaciętszym moim wrogiem, nie pomijał żadnej sposobności, aby mi szkodzić w czem mógł i dokuczać. I tak, kilka razy spaliły się moje zabudowania gospodarskie, już to własną, zbrodniczą ręką brata, jużto z rozkazu jego podpalone. Innym znowu razem, za wpływem brata, rozbójnicy pod moją nieobecność napadli na dom mój i cały splądrowali.

Wszystko to znosiłem cierpliwie, lecz gdy raz, na polowaniu na niedźwiedzie, kula z dubeltówki brata tuż nad moją przeleciała głową, — wtedy w obec innych ludzi ostrzegłem go, jakie skutki pociągnąć może głupia i nieuzasadniona jego nienawiść. Za to brat wyśmiał mnie jeszcze szyderczo, powiedział, że lada dzień spodziewa się otrzymać majorat i że się moich pogróżek nie boi.

Jakoś w tym czasie ożeniłem się i wprowadziłem w dom swój młodą i piękną dziewczynę, sądząc, że w ten

sposób może szczęście zawita pod moją strzechę. Kochałem żonę całą miłością młodzieńczego serca i sądziłem się być od niej kochanym. Stosunki moje z bratem na lepsze trochę weszły tory, widocznie los mój zaczął się na lepsze zmieniać. Brat, pomijając szaloną rozrzutność, stawał się z dniem każdym lepszym człowiekiem, a gdy resztki majątku przepuścił, prosił mnię serdecznie, bym go jako rządcę do swego majątku przyjął. Chętnie to uczyniłem, sądząc, że w ten sposób oswobodzę się najskuteczniej od najgroźniejszego nieprzyjaciela. Wkrótce jednak gorżko to musiałem odpokutować...

Jakoś w jesieni tego roku zmuszony byłem udać się do Siedmiogrodu, aby tam za wielką dostawę zboża odebrać pieniądze; lecz tu cios za ciosem walić zaczął w moją głowę. Gdy się po odbiór pieniędzy zgłosiłem do handlarza zboża, pokazał mi on, oprócz kwitów z moim podpisem na odebrane pieniądze, jeszcze weksel wydany na rachunek nowych zbiorów zboża. Poznałem w tem sprawkę mego brata. Podszedł mnie niegodziwie i w ten sposób pozbawił prawie połowy majątku. Nie było innej rady, jak zabrawszy sfałszowane dokumenta, powrócić do domu. Lecz tu niespodziewanie czekał mnie cios stokroć straszniejszy...

Przybywszy do domu, nie zastałem w nim ani brata, ani... żony. Nędznik okradł mnie, a na dobitek uwiódł mi żonę i uciekł z nią. Ha, omal nie oszalałem, lecz i ten cios musiałem przeżyć...

W strasznem tem nieszczęściu, zrozpaczony, zacząłem pić i grać w karty, chcąc w odurzeniu znaleść spokój i ukojenie. Nic to jednak nie pomogło. Gdy więc Alexander Ypsilanti w r. 1821 w Mołdawii wzniecił rokosz, udałem się tam i, by zapomnieć o doznanych ciosach, ofiarowałem mu swoje usługi.

Koło klasztoru Dragasani, — było to 19. Czerwca 1821 r. — zostaliśmy przez Turków pobici. Ypsilanti uciekł ze swym bratem Mikołajem do Siedmiogrodu, gdzie został przez rząd austryacki uwięziony i do Czech wysłany. Tam przebywał lat kilka i dopiero później na wolną stopę został wypuszczony z warunkiem osiedlenia się w Weronie. W podróży jednak do Werony zmarł we Wiedniu w styczniu r. 1828.

Ja byłem raniony, nie mogłem przeto uciec za granicę. W ciągu dnia zatem ukrywałem się po lasach i po rozległych polach kukurydzianych, nocami zaś odbywałam żmudną drogę i tak dowlokłem się do jednego z dawnych przyjaciół, prosząc go o pomoc. Przyjaciel ów jednak, któremu swego czasu wiele dobrego wyświadczyłem, wydał mnie z „przyjaźni“ Turkom, spodziewając się zapewne sowitej nagrody. I tak w kajdanach zostałem zagnany aż do Stambułu, gdzie mnie sąd wojenny skazał na rozstrzelanie.

Dzień egzekucyi już był naznaczony — a ja, zrezygnowawszy zupełnie z życia, czując, że tylko w ten sposób uwolnię się od prześladującego mnie nieszczęścia, byłem o ile możności wesołym i swobodnym. Wtem jeden z moich towarzyszy niedoli dał mi znać potajemnie, abym był gotów do ucieczki z więzienia. Plan był zbyt śmiały, prawie niewykonalny, a jednak tym razem — udało mi się. Towarzysz mój, Grek rodem, przepiłował kajdany i o północy, wyłamawszy się z więzienia, zamordowawszy straż — we czterech umknęliśmy.

Ścigano nas aż do Dunaju. Słyszeliśmy kule naszych prześladowców, przelatujące po nad głowami naszymi, a mimo tego, z wyjątkiem dwóch, których nie minęły, ja i pewien Serb uszliśmy cało.

Mnie już nic teraz nie ciągnęło do ojczyzny, gdzie brat, żona i przyjaciel tak mi się przysłużyli. Uciekłem przeto za granicę wołoską i zapuściłem się w te góry, by więcej z nich nie wyjść i nigdy nikogo nie widzieć.

Zakonnicy tutejszego Skitu przyjęli mnie z otwartymi rękoma, u nich jednak wyprosiłem sobie tylko habit zakonny i udałem się w niedostępne te lasy, by pędzić życie pustelnicze. Sądziłem, że rany, zgryzota, i nędza wkrótce uwolnią mię od tej nieszczęsnej życiowej wędrówki — lecz stało się inaczej. Świeże powietrze lasu, spokojne życie i niezwykły zasób sił żywotnych sprawiły, żem z dniem każdym stawał się zdrowszym. Życia wśród ludzi, ich rozrywek i zabaw, wcale mi nie było żal — ciągle jednak czułem brak broni do polowania. Udałem się przeto do zakonników i prosiłem, aby mi jaką strzelbę darowano. Życzeniu memu uczyniono zadość. Uciekający przed Turkami Ypsilanti pozostawił był swego czasu wiele broni w klasztorze. Znalazła się tedy piękna strzelba, tylko z amunicyą bardzo było krucho. Lecz wtedy mi Bóg ciebie zesłał, przyniosłeś mi proch, ołów i — swą prawdziwą przyjaźń...

Niech cię Bóg błogosławi, za wszystko dobre coś dla mnie uczynił. Mam tu jeszcze spory trzos pieniędzy, który mi — gdyśmy łódką przez Dunaj uciekali — jeden z umierających towarzyszy w rękę wcisnął — weź to!

— Pieniędzy twych, czcigodny ojcze — odrzekłem — nie potrzebuję. Mam dosyć swego. Lecz jeśli się Bogu spodoba powołać cię do siebie, to daj mi tylko twą tylokrotnie wypróbowaną broń, a będę ją póki życia mego z największą czcią, jako pamiątkę przechowywał.

— Niech i tak będzie — rzekł stary. — W takim razie pieniądze wraz z moim brewiarzem zaniesiesz do klasztoru. Niech za to corocznie jeden z mnichów, którzy mnie znają, z tobą tu przychodzi i pomodli się za spokój mojej duszy.

Ze łzami w oczach, przyrzekłem starcowi wypełnić jego ostatnią wolę.

Następnego dnia czuł się starzec o wiele lepiej, a trzeciego dnia mógł już o własnej sile chodzić, tak, że odważyłem się go już samego zostawić.

Jakiś czas czuł się jeszcze mnich wcale dobrze, lecz pewnego dnia, gdy już śnieg pokrył szczyty górskie, zjawiła się u mnie jego wierna, na szkielet prawie wyschnięta suka, którą mu przed rokiem dałem, i łasząc się koło nóg moich, zdała się mówić, że jest zwiastunem śmierci starego mnicha.

Wybrałem się tedy w drogę. Po wielkich mozołach dobiłem się do jaskini mnicha i znalazłem już w istocie tylko jego zwłoki, zachowane w całości i zamarznięte. Z niemałym trudem pogrzebałem je. Na piersiach miał książkę do modlitwy, a ręce na krzyż złożone.

Trzos z pieniądzmi i strzelbę zabrałem. Pierwsze zaniosłem do klasztoru, drugie, jak widzicie, mam tu przy sobie.

* * *

Na tem skończył stary Jan swe opowiadanie i wzruszony pocałował strzelbę.

Było już późno w nocy, nie mogłem jednak zasnąć, bo ciągle mi stał przed oczyma mnich z białą brodą. A gdy stary Jan powstał, by gałęzi do ognia dorzucić, zapytałem go, czy zechce mnie do jaskini mnicha zaprowadzić?

— Dobrze, mój synu — odparł, uścisnął mi rękę i ułożył się do snu.

Polowanie upłynęło przyjemnie. Ja po raz pierwszy ubiłem wielkiego capa. Z powrotem po polowaniu wstąpiliśmy do jaskini, którą tak pragnąłem widzieć. Znajdowała się ona jeszcze w dobrym całkiem stanie; krzyż trzymał się jeszcze prosto, a na mogile, pod którą w śnie wiecznym pogrążony spoczywał ów, tak na świecie nieszczęśliwy człowiek, zieleniły się trawy i krzewy.

Dużo już lat upłynęło od tego czasu. Ojciec mój i stary Jan także opuścili ten świat, a ja nieraz jeszcze myślę, czy też się oni tam w górze ze starym mnichem spotkali?..

Odwiedzam jeszcze czasami te strony, oglądam jaskinię, prostuję spróchniały już krzyż i siedząc na wiecznie zielonej mogile, dumam o bezpowrotnie minionych czasach.

Przełożył *J. St.*

PAROSTKI KOZŁÓW.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

skreślił

Władysław Spausta.

„Sarny należą do dzikich kóz, mają wiele podobieństwa do danieli. Skoro rogacz rok już ukończył, dostaje rożki z dwiema odnogami, zupełnie tak jak u jelenia; w drugim i trzecim roku ma już po 4 odnogi a czasem i po 6, których już potem nie zrzuca. W styczniu i lutym są już rogi nowe wykształcone, które mu służą do obrony naprzeciw psom i lisom“.

Tymi słowy rozpoczyna się opisanie sarny (jako gatunku zwierzęcia łownego) w specyalnem a noszącem wiele zapowiadający tytuł dziele „Myśliwstwo w Polsce i Litwie“, wydanem w Poznaniu w r. 1865! Tak jest, nie mylę się bynajmniej co do daty.

Nie wdając się bynajmniej w polemikę, czy rzeczywiście r o g i służą kozłom do obrony przeciw psom i lisom, i co zatem idzie, iż po zniknięciu z powierzchni ziemi tych dwóch rodzajów psiego rodu wyrastać by musiały kozły bez rogów (!), pragnąłbym w rozprawie niniejszej pomówić cokolwiek o powstawaniu parostków koźlich, ich stopniowym rozwoju i patologicznych objawach na tychże.

Nie uwierzyłby mi może autor „Myśliwstwa w Polsce i Litwie“, rzuciwszy okiem na owe szeregi parostków koźlich, które zdobią ściany mego domku, na owe stosy czerepów czaszkowych, przekrojów podłużnych i poprzecznych, które od dwudziestukilku lat nagromadziłem, iż ja zgoła nic a nic nie wiem o celu parostków kozła, i zaręczam, że nigdy mnie ta ambicya wiedzy nie pożerała, podobnie, jak nie odbierała mi snu myśl nad celami grzebienia koguta, wisiora indyka, pioropusza pawia i t. p. ozdób rodu męzkiego. Być może, iż naczytałem się za wiele mądrych rozpraw o celowości podobnych organów, i rezultaty tych prac nie zachęciły mnie bynajmniej do gubienia się wśród lasu spekulatywnych przypuszczeń na to, aby wrócić znużonym do miejsca wyjścia. Zresztą i dla następnych pokoleń trzeba coś zostawić, bo nudziłoby się im na tym padole; nam myśliwym nie wkraczać na nieuchwytny jeszcze teren, bo tam już nie jeden ścisły badacz łamie sobie głowę, żądając od nas materyałów tylko, nad podchwyceniem wątku prawidła, które może dalekim pokoleniom dozwoli zbliżyć się cokolwiek do tajemnic stworzenia.

Zdziwisz się może łaskawy czytelniku, iż przyznaję się do zupełnej niewiadomości co do celu parostków u kozła, wierząc przytem, iż takowe conajmniej służyć mają do obrony „przeciw lisom i psom“. Ale to jest tylko logiczna dedukcya. Przypuściwszy bowiem opatrzne oko przyrody i uznając celowość w jej dziełach, byłoby trudno dopatrzyć się w tym właśnie wypadku tego, co celem zowiemy. Dlaczegoż kozioł miałby być bezbronnym właśnie w chwili dla niego najniebezpieczniejszej, tj. w chwili, gdy rozmaite bestye drapieżne wraz z wyrosłą już godną swą dziatwą, wygłodniałe, krążąc po białym całunie lasów, szukają kogoby pożarły? Dlaczegożby druga, piękniejsza połowa tego rodu była na zawsze pozbawioną owego peryodycznie pojawiającego się narzędzia obrony, gdyby narzędzie to udzielała przyroda pod wpływem potrzeby i konieczności, rozkazując równocześnie rogatemu małżonkowi opuszczać bezbronną rodzinę? Zatem nie „przeciw lisom i psom“ wyrastają te szpice na głowach kozłów, ale może przeciw własnemu rodzajowi, bo pojawiają się w chwili, gdy męzka połowa rodu sarniego właśnie broni zaczepno-odpornej najwięcej potrzebuje.

Odgrywają zatem parostki, jak się domyślać wolno, ważną rolę w doborze płciowym i dozwalają tylko najsilniejszym egzemplarzom, o najwięcej ostrych i obronnych parostkach, stać się ojcami przyszłych pokoleń, właśnie w chwili, gdy skostnienie tych tworów doszło do punktu kulminacyjnego, gdy niemal metalowej twardości parostki są zawsze gotowe podjąć zaciekły turniej na śmierć lub życie w obronie praw przyrodzonych. Lecz i to tylko bardzo pozorny i słaby argument, bo przecież gdyby wszystkie kozły były bez parostków, równąby miały szansę walki i zwycięstwa.

Zapuściłem się z umysłu w ów labirynt spekulacyj, aby okazać do czego doszedłem; czas zatem wycofać się na właściwe pole, pamiętając, iż każdy proceder natury, każdy jej wytwór nosi na sobie piętno tego, co celowością zowiemy.

Sposób wkładania i zrzucania parostków u kozłów, wieńców u jeleni, rosochów u danieli i tego rodzaju tworów u innych pełnorożców, jest zupełnie analogiczny. W rozprawie niniejszej pragnę jedynie traktować o parostkach kozłów, jako mi dokładnie z praktyki łowieckiej znanych, tem bardziej, że rodzaj ten przed wszystkimi innymi pokrewnymi gatunkami odznacza się nadzwyczajnem bogactwem kształtów i budowy, zależnych od nadzwyczaj tkliwej organizacyi zwierzęcia na wpływy wszelkiego rodzaju.

Róg pełnorożców, to twór nie często w naturze spotykany, to wyjątkowo obnażona kość, nie dająca się porównać pod względem anatomicznym z rozmaitymi twardymi wy-

rostkami, jakie u zwierząt innych spotykamy. Rogi pełnorożców, to twór zupełnie odrębny; chyba może jakie anatomiczne podobieństwo zachodzi z rogiem zęborożca *(Monodon monoceros*, Narwal), olbrzymiego ssaka z rodzaju delfinów, zamieszkującego morza północy, którego zębowi, czy też rogowi, przypisywano jeszcze w wiekach średnich bajeczną wartość. W naiwnych owych czasach, miano róg ten za róg mitycznego jednorożca, wspominanego przez Arystotelesa, Pliniusza, Aeliana i innych mędrców starożytności, przypisujących mu cudowne własności lecznicze. Lecz zmieniły się czasy — zęby zęborożca sprzedają dziś na wagę, a w przemyśle stanowią one surogat kości słoniowej, utraciwszy wyłączny przywilej jako materyał do wyrobu pastorałów biskupich.

Rogi pełnorożców, a zatem i sarnie parostki, odgrywające niegdyś w historyi ludzkości wielką rolę, stały się dziś przeważnie materyałem na guziki, co bynajmniej nie przeszkadza, iż wytwory te przedstawiają dla myśliwego szczególniejszą wartość pamiątkową. Jestto jedyna cząstka, która trwale, bez żadnych zresztą kłopotów, pozostaje myśliwemu, która po tysiącleciach nawet nie ulega zmianie, a dziwnym swym kształtem i różnorodnością budzi interes nawet u kół szerokich, nie mówiąc o znaczeniu, jakie przedstawia dla znawcy, dopatrującego tam, jakby w wosku wyciśnięte dobre i złe koleje życia zwierza, które pod wpływem stosunków tellurycznych, klimatycznych, fizyologicznych i patologicznych zbudowało pomnik tak trwały, a od stosunków tych jak najściślej zawisły.

Wobec nagromadzonych ze wszystkich stron świata przeróżnych, za oczy chwytających przedmiotów, wobec lśniących cacek, jakimi przemysł wystawy tak dziś upowszechnione zasypuje — ściąga ku sobie poważnym nastrojem tchnąca wystawa łowiecka zawsze tłumy ciekawych, a nawet tak zwana publiczność niedzielna największy przed tą wystawą zgiełk tworzy. Obserwowałem nieraz ten objaw, a świeżo na wystawie rolniczo-leśnej w Wiedniu w r. 1890. Lecz cóż zatrzymuje tutaj owe szerokie koła? Po dłuższej obserwacyi przekonałem się, że to trofea myśliwskie, pomiędzy którymi grają najważniejszą rolę rogi rozmaitego rodzaju, są owym magnesem pociągającym. Ta prosta natura, wyniesiona na widownię świata z głębi puszcz i kniei, nietknięta ręką ludzką, wywiera ów czar, jest owym magnesem, budzi nawet w umysłach prostaczych tęsknotę za życiem w wolnej przyrodzie, zaprzedanem, pod naciskiem żelaznej konieczności, za owe wygódki, będące dziś chlebem powszednim ogółu, a może działa i w innym kierunku, przywołując reminiscyencye epok bardzo odległych, może budzi instynktowy szacunek dla owej prototypowej broni, owego pierwszego narzędzia, które sama przyroda włożyła w rękę bezbronnemu pokoleniu Deukaliona w jego nie do pozazdroszczenia walce o byt i jutro.

Kość, róg, kawał drzewa i kamień — to wszystkie materyały, które dla swych celów potrafił wyzyskać umysł człowieka, objawiając w ten sposób swą wyższość nad otaczającem go stworzeniem. Materyały te oswobodziły zwolna człowieka od poniżających więzów niewoli, na jakie bezbronność go skazywała, dozwoliły mieszkańcowi grot i nor ziemnych wyleść z tychże i ufundować swe państwo na zawojowanym terenie. Grot z rogu, kości lub krzemienia zadawał śmiertelne ciosy kolosom owych epok, maczuga z rogu i krzemienia strzaskała czaszkę niedźwiedzia jaskiniowego, gdy potwór ten poważył się naruszyć spokój ustronnej pieczary ówczesnego człowieka.

Mijały wieki — bronz, później żelazo, wyrugowały nieudolny materyał. Róg jako broń i narzędzie z pola krwawych zapasów, z pola pracy, przeniósł się na inną niwę, tworząc bądźto część ornamentalną zbroi, bądźto trofeę łowiecką mieszkania, wzbudzającą postrach nieprzyjaciół. Dobry łowiec i tęgim musiał być wojownikiem, więc fantastyczne kształty rogów dodawały grozy w żelazo zakutym postaciom wojowników, a mroczne komnaty średniowiecznych zamczysk stroiły się w trofea rogów, pomnażanych w ciągu pokoleń. I jako takie pozostały one aż do naszych czasów miłą pamiątką myśliwską a zawsze ozdobą ścian, z tą tylko różnicą, iż coraz dalej postępująca wiedza przyrodniczo-łowiecka, robiąc coraz to nowsze spostrzeżenia nad tym tworem, o którym w czasach dawniejszych najdziwaczniejsze miano pojęcia, interesuje się coraz więcej już nie tyle ogromem kształtów ile rozmaitością i różnorodnością budowy, mającej swe źródło w niezbadanych jeszcze zupełnie powodach.

Amatorstwo w tym względzie, osobliwie w sferach zamożniejszych świata łowieckiego, doszło do tego stopnia, iż szczególnie rzadkie okazy po bardzo wysokich nabywa się cenach, a gdy rodzaj sarni ze wszystkich sobie pokrewnych gatunków najbardziej odznacza się bogactwem form parostków i największą różnorodnością kształtów, są obecnie parostki kozłów w inteligentnych kołach myśliwskich przedmiotem szczególniejszego zainteresowania.

* * *

Kość nie wytwarza się odrazu jako ciało twarde, wysoki procent substancyj mineralnych zawierające, lecz składa się z początku z substancyi organicznej, klejorodnej t. z. glutyny, a przemiana na kość właściwą następuje dopiero później, przez stopniowe osadzanie się soli wapiennych, a w szczególności węglanów i fosforanów, które w wykształconej już kości w ścisłem mechanicznem połączeniu z substancyą klejorodną pozostają. Jest to tak zwana osyfikacya, czyli kostnienie, odbywające się w krótszym lub dłuższym przeciągu czasu, stosownie do rodzaju kości, pomieszczenia jej w organizmie, niemniej stosownie do indywidualnej siły żywotnej.

Niemal w zupełnie ten sam sposób wytwarzają się parostki; z początku miękkie, (mleczne rogi), twardnieją coraz bardziej, stając się przytem coraz gatunkowo cięższymi, w skutek osadzenia się w nich substancyj mineralnych.

Nie chcę tu trudzić czytelnika żmudnym i nieudolnym, bo niefachową ręką kreślonym opisem fizyologicznego procesu powstawania kości (zresztą opis ten bez rycin byłby nawet mało zrozumiałym), ponieważ jednak dla zrozumienia przedmiotu traktowanego konieczną jest rzeczą poznanie prawideł, na jakich kość powstaje, śmiem odesłać łaskawego czytelnika do specyalnego w tym zakresie dzieła.

W czwartym, piątym, a nieraz dopiero w szóstym miesiącu życia — co zależy od najrozmaitszych okoliczności bytowych — zatem w sierpniu lub wrześniu, pojawiają się u koźlęcia dwa wzniesienia na kościach czelnych w okolicy guzów czołowych (w znaczeniu anatomicznym). Bliższe badanie czaszki w tej porze przekonuje, że wzniesienia te powstały w skutek rozmiękczenia i zgalaretowania tkanki łącznej i okostni *(Periostium)* w tem miejscu, a przekrwienie i wytwarzanie się naczyń, dające się poznać nawet na zewnątrz miejscowem podniesieniem temperatury, wskazuje, że odbywać się tam musi jakiś raptowny proces przemiany materyi. Już w tej porze sierć nad owymi wzniesieniami zaczyna się kędzierzawić, a w 6ym lub 7ym miesiącu życia wyrostki czyli wzniesienia na guzach czołowych posiadają

już 1 do 2 cm. długości, i wyrzynają się wtenczas zwykle pierwsze siekacze.

W ciągu zimy wyrostki te, zwane w języku myśliwskim guzami, wydłużają się coraz bardziej, wreszcie przebijają się przez skórę, a wykłute końce obleka cienka i drobnym, miękkim włosem porosła skórka, zwana w myśliwstwie „mchem“, „scypułem“, a będąca właściwie przykostnią *(periostium)* w znaczeniu anatomicznem. Z jednej strony kanały, znajdujące się wewnątrz tego nowotworu, dające się łatwo zobaczyć po przekrojeniu piłką jeszcze zupełnie miękkiego wyrostka, z drugiej zaś strony scypuł ze swymi naczyniami, pracują dalej nad wykształceniem owej kości, którą język myśliwski u kozłów p a r o s t k a m i zowie.

Po wykłuciu się parostków z pod skóry, wzrost ich jest nadzwyczaj szybki, coraz bowiem większa ilość drobniutkich przyrządków pracuje na zwiększonej powierzchni, a w styczniu lub w lutym osiągają parostki pod scypułem niemal zupełną swą wielkość.

Jednak nie tu koniec wykształcenia parostków; są one miękkie, chrząstkowate, a za delikatnym uderzeniem łamią się lub zginają. Podczas gdy parostki jeszcze rosną, rozpoczyna się już proces zwapniania, substancya staje się coraz twardszą, coraz cięższą, kanały wewnętrzne coraz więcej się zacieśniają, aż wreszcie w wykształconej parostce dochodzi zawartość soli wapiennych przeważnie fosforanu wapna, od 40—57%, części zaś organicznych od 60—43%.

Zdawałoby się, iż w epoce zwapnienia stwardnienie parostek odbywa się od dołu do góry, bo kanały w dolnej części łodygi parostkowej stają się coraz ciaśniejsze, podczas, gdy gąbczastą tkaniną wypełniony koniec, każe się domyślać, iż odbywa się tam nowa wymiana materyi. Lecz tak nie jest. W krótkim czasie zawartość, wypełniająca dolne części parostek, zostaje napowrót zresorbowaną, i od tej chwili zaczyna się już stałe kostnienie od góry. Posiadam kilkanaście przekrojów z rozmaitych miesięcy roku, a wszystkie bez wyjątku demonstrują najdokładniej rzecz tu opisaną.

W marcu lub kwietniu, t. j. w 11-tym miesiącu życia, oczyszcza zwierzę scypuł z twardych już parostek, ten bowiem, wypełniwszy swe przeznaczenie, martwieje, usycha i nie przedstawia rozdarciu wielkiego oporu. Jednak, o ile pierwszy rzut oka na oczyszczone ze scypułu parostki robi wrażenie, że są one już zupełnie wykształcone, o tyle zaprzecza temu bliższe badanie. Parostki u spodu jeszcze nie są zupełnie masą kostną wypełnione, a wykończenie ich masywnego kształtu następuje teraz, już po oczyszczeniu, i rozciąga się dalej, na guzy czołowe, które dotąd przedstawiały gąbczaste i porowate wnętrza. Przedtem siwa i gąbczasta tkanina kości guzów i kości czołowych staje się obecnie twardą, bieleje coraz więcej, a ku końcowi rozwoju parostków przybiera biało-żółtą barwę, lśniącą i gładką powierzchnię.

Parostki same, ukończywszy w lipcu swój rozwój, ciemnieją coraz bardziej pod wpływem powietrza i światła.

Z opisanych tu przejawów dochodzę do wniosku w każdym razie bardzo nieśmiało postawionego, a mianowicie, że p r z e z n a c z e n i e m s c y p u ł u j e s t d o p r o w a d z e n i e m a t e r y a ł ó w, p r z e r ó b k a z a ś t y c h ż e n a s u b s t a n c y ę k o s t n ą o d b y w a s i ę z a p o m o c ą p r z y r z ą d ó w, w k a n a ł a c h w e w n ę t r z n y c h z a m i e s z c z o n y c h. Nie przeszkadza to bynajmniej temu, iż scypuł sam przez się wytwarzać może w pewnych okolicznościach substancyę kostną, z jakiej się porostki składają.

Od dnia 1. marca, według ustawy, nazywa się kozioł szpiczakiem, bo parostki wykształcają się w tej epoce zazwyczaj szpiczasto, bez żadnych rozgałęzień, a ustawa łowiecka dla Galicyi każe go szanować w miesiącach marcu kwietniu i maju, podczas gdy koźlęta *(Kitzböcke)* chroni ustawa przez rok cały, podobnie jak sarny.

Parostki pierwotne, na całej swej powierzchni niemal gładkie, o przekroju kolistym, posiadają u swej podstawy pierścień, tj. zgrubienie, powstałe przez grubsze osadzenie się w tem miejscu masy kostnej. Zgrubienia te, w języku myśliwskim różami lub pierścieniami zwane, są cechą charakterystyczną każdych parostków, a pomimo, że nieraz, osobliwie u szpiczaka, bardzo tylko słabo się zaznaczają, odróżnić je można zawsze i wszędzie.

Chcąc coś pewnego powiedzieć o roli, jaką owe róże w życiu parostków odgrywają, trzebaby przedsiębrać ścisłe bardzo w tym kierunku badania, które do specyalnej należą wiedzy i bez pewnego zasobu aparatów posiłkowych przeprowadzić się nie dadzą. Tu naprowadzam tylko domysł, czysto na prawach logicznych oparty.

Natura, wytwarzając parostki, przygotowuje się równocześnie do spełnienia dalszej pracy, a tą jest wstrzymanie cyrkulacyi tworzywa, gdy takowe już jest zbyteczne. Róże, zgrubieniem swem coraz większem, naciskają otaczający je scypuł, a pod takim naciskiem zanika powoli działalność tegoż, obumiera on coraz bardziej, gdzieniegdzie już tylko jakieś włoskowate naczyńko przeprowadza soki odżywcze, zwierzę zaś, widocznie niecierpliwione jakiemś bolesnem uczuciem, towarzyszącem zaumieraniu scypułu, odziera go dość gwałtownie i z pewnem rozjątrzeniem na przedmiocie chropawym, zatem na gałęzi krzaków lub korze drzew grubszych, przyczem, zrywając funkcyonujące jeszcze naczynia, krwią znaczy ślady przedsiębranej operacyi.

Posiadam dość liczną kolekcyę gałęzi o ranach, bądź świeżych, bądź zalanych a powstałych w skutek oczyszczenia parostków, i twierdzić mogę, że przyczyny tych uszkodzeń nie mogą ulegać żadnej wątpliwości, bo zbierałem je własną ręką a na bardzo wielu widać i w szczelinach ślady otartego scypułu, drobne płatki skórki, ślady krwi charakterystyczne, i włoski drobne, które jedynie tylko scypuł okrywają.

Zadziwiającą jest rzeczą, iż kozły okazują się bardzo wybrednymi co do miejsca i drzew, na których odbywają oczyszczanie parostków. Wobec milionów krzewów zupełnie do siebie podobnych, w obec kilka tysięcy morgów zawierającej powierzchni lasowej, pewne tylko miejsca otrzymują przywilej do odbywania tej operacyi, a na tych miejscach tylko pewne drzewa i krzaki. Mógłbym wskazać niedaleko od mego mieszkania małe powierzchnie wśród ogromnych lasów, porosłe łoziną, wśród której tarnina i kruszyna rosną w najlepsze wspólnie z kulturowaną przed kilku laty świerczyną; otóż tutaj, ledwo nie co drugi krzak lub drzewko, nosi na sobie ślady, powstałe z oczyszczania parostków, a przecież w okół znajdują się ogromne powierzchnie zapustów i kultur świerkowych, w których napróżnoby szukał podobnych śladów. Z dalekich zatem stron kniei ściągają się prawdopodobnie kozły w miejsca wspomniane, w okolicę, w której o innej porze wcale się z nimi spotkać nie można.

Trudno dociec, jakiego rodzaju specyfik tkwi w tych uprzywilejowanych krzewach, przyczyna wyboru przeto niezbadana. Uczęszczanie zaś dalsze w te miejsca, gdzie już znajdują się nadwerężone krzaki w swych warstwach miazgowych, zdaje się być uzasadnione tem, iż raz skaleczone gałązki wydzielają soki, osobliwie drzewa szpilkowe lepkie soki żywiczne, które może ułatwiają kozłowi oczyszczenie parostek z mchu, działając bądź mechanicznie przez swą lepkość, bądź kuracyjnie, przyspieszając gojenie się ranek, zada-

nych przy oczyszczeniu. Konserwatyzm i dobra pamięć działają tu w następstwie, a w roku przyszłym, pomimo, iż rany na krzewach zupełnie już się wygoiły, przybywają kozły do tych samych miejsc i kaleczą na nowo niemal te same drzewka.

W łowieckiem mojem studyum dzika wspomniałem również o podobnym zwyczaju tego zwierza, usiłując sobie w podobny sposób objaw ten wytłumaczyć.

Rzecz naturalna, że uszkodzenia stąd powstałe, koncentrujące się na pewnych miejscach, są tak małoważne, — zwłaszcza, że dotykają krzewów i tak prawie żadnej wartości nie mających, lub drzewek zgłuszonych albo skarłowaciałych, które i tak trzebież przed czasem usunąć powinna — iż wspominać o nich, jako o uszkodzeniach lasowych, nie warto. Zwrócę tu tylko uwagę na pewną analogię, zachodzącą pomiędzy niewinnem stosunkowo uszkodzeniem przez oczyszczanie parostków, a strasznem dla lasów ogryzaniem pęczów przez sarny, w szczególności zapustów dębowych. Podobnie jak skaleczony krzew przyciąga i inne kozły do wykonywania na nim oczyszczania parostków, tak samo ogryziony z pączków szczytowych dąbek staje się przedmiotem dalszych zapędów sarny. Dąbek taki, skłonny do reprodukcyi utraconych części, wytwarza silne bujanie pączków przybyszowych, skutkiem czego wyrastają liczne, kupczasto ułożone pędy. W miejscu jednego szczytowego, powstają dzięki roztropności pierwszej sarny, która go ogryzła, całe pęki świeżych, soczystych pędów, i te dopiero są właściwym przysmakiem sarn; to też ogryzają je w następstwie coraz łakomiej, a w miarę tego coraz nowe, coraz liczniejsze tworzą się pędy, aż wreszcie gaśnie powoli siła żywotna w drzewku, wyniszczonem hyperprodukcyą soków, a w trzecim lub czwartym roku męczeństwa staje się kandydatem śmierci niedorosły olbrzym.

Wyszedłem wprawdzie nieco z ram mej rozprawy, jednak z bolem serca czułem się w obowiązku wystąpić raz, jako oskarzyciel rodu sarniego.

Słuszne są utyskiwania na szkodliwość sarny, lecz i niesłuszne i nieracyonalne morzenie głodem zwierzostanów wobec zmienionych warunków gospodarstwa leśnego, zwierzostanów, rozmnożonych częstokroć ponad możność, ponad zakreślony naturą rzeczy stosunek pomiędzy powierzchnią lasu a ilością zwierzyny.

Oczyszczanie parostków, osobliwie u kozłów starszych i silnych, bywa przedsiębrane nieraz na dość grubych gałęziach, a w każdym razie na mogących stawić jakiś opór zwierzęciu, a gdybym nie widział na własne oczy, z jaką zajadłością i widocznem jakiemś rozjątrzeniem czynność tę kozioł wykonuje, możebym nie uwierzył, że uszkodzenie grubych gałęzi, odarcie z nich kory, pochodzi z oczyszczania parostków z subtelnego scypułu.

Nie pominąwszy w mem życiu bardzo wielu dni ciągu słonek, stałem się raz świadkiem przypadkowym tej operacyi. Przed chwilą ciągu, znalazłem się pod lasem, na polanie porośniętej tu i owdzie krzakami wierzb i łoziny. Usiadłszy pod dębem, już w cieniu lasu, usłyszałem niebawem jakiś szmer na polanie, jednak niczego nie mogłem dojrzeć. Widok zakrywały gęste odrośla, wreszcie ukazały mi się tylne nogi, potem tułów, a poznawszy już kozła dokumentnie po pędzlu, gdyż głowy wcale nie widziałem, czekałem co dalej nastąpi. Stał on w postawie nieco rozkraczonej, sprawiając prawdopodobnie ocieraniem parostków szelest nieznaczny. Szelest ten później stawał się coraz mocniejszy, a przy silnem poruszaniu ciała słyszałem wyraźne uderzenia; tempo tychże stawało się coraz szybsze, a odbite kawałki kory spadały na ziemię. Czy odetchnąłem głośno, czy też się ruszyłem, nie pamiętam, dość, że kozioł znikł w jednej chwili, a ja nie widziałem nawet, w którą pomknął stronę. Przyszedłszy na miejsce gdzie stał, ujrzałem cewkami wybite ślady. Kilka kawałków odbitej kory leżało na ziemi, a kilka zalanych blizn na innych miejscach gałęzi świadczyły, że nie pierwszy rok operacya ta miała tu miejsce.

(C. d. n.)

Psie myśli.

Napisał

Seweryn Kisielewski.

Jeśli zdobędziesz się, miły czytelniku, na tyle cierpliwości, że odczytasz te „psie myśli“ aż do końca, to powiesz może, że to bajka, albo „myśliwska łacina“, albo, uwierzywszy temu co piszę, zakwalifikujesz mnie do zakładu Kulparkowskiego...

Mniejsza o to. Zawsze nie waham się ani chwili podać do powszechnej wiadomości spostrzeżeń nad psami, jakie w ciągu długich lat zebrałem, zaręczając tylko, że wszystko co mówię jest najściślejszą prawdą.

Nie jestem zarozumiałym, lecz pochlebiam sobie, że na psach do polowania, a w szczególności na wyżłach i na tresurze ich, znam się dosyć dobrze. Otóż na podstawie tej znajomości pozwalam sobie postawić i będę próbował uzasadnić pewne twierdzenie.

Twierdzeniem tem, bardzo śmiałem, a opierającem się na zupełnem mojem przekonaniu i będącem w moich oczach niezachwianym pewnikiem, jest to, że **pies myśli w podobny sposób jak człowiek.**

Nie można wprawdzie przypuścić, i zbyt śmiałym paradoksem byłoby twierdzenie, że myślenie psa może dorównać polotowi myśli, nietylko człowieka przeciętnie wykształconego, ale nawet takiego, który nie ma żadnego wykształcenia, lecz z natury zwykłym rozumem i zdrowym rozsądkiem jest obdarzony, jednak pytanie wielkie, czyli pies nie stoi na równi, a w pewnych wypadkach może nawet wyżej od człowieka ograniczonego, od idioty, który prócz uczucia zimna i gorąca, głodu i popędów zwierzęcych, nie doznaje żadnych wrażeń, i jak się zdaje, nic nie myśli.

Że niektóre zwierzęta, a szczególnie psy, zdolne są do pewnego rodzaju myślenia i porozumiewania się pomiędzy sobą, temu, zdaje się, nikt nie zaprzeczy — ja dodam tylko tyle, że inteligencya i myślenie u psa rozwijają się i zwiększają

w miarę postępu w tresurze, tak samo, jak u człowieka wyrabia się myślenie w miarę postępu w naukach.

Mając wielkie zamiłowanie do badania psiej natury, tresowałem w życiu mojem kilkanaście wyżłów, bądźto własnych, bądź też należących do moich znajomych — i przekonałem się dowodnie, że u każdego okazywały się jedne i te same objawy, z tą tylko różnicą, że u jednego psie siły intellektualne rozwijały się prędzej, u drugiego wolniej, ale w końcu rezultat był zawsze ten, iż po ukończeniu tresury mogłem z psem, którego uczyłem, porozumiewać się w taki sam sposób, jak z człowiekiem na niemo porozumiewać się można.

Środkiem do porozumiewania się były głównie oczy. Skoro spostrzegłem u pierwszego mojego psa, że on, nie mogąc mię zrozumieć, stara się wyczytać z ócz moich, czego od niego żądam, wpadłem na domysł, czyby mi się nie udało czytać również w jego oczach i przez to dojść do możności zrozumienia jego chęci i zamiarów na wypadek, jeżeliby kiedy nie na rozkaz, lecz z własnego popędu coś zrobić zamierzał.

W tym celu, zwróciwszy całą moją uwagę na psie oczy, zaprzestałem dalszej tresury, stałem się milczący i pozostawiłem psu do wyboru: albo leżeć, nic nie robić i nic nie jeść, albo też dawać mi do poznania w sposób jemu właściwy, czego chce. Po dwudziestu czterech godzinach spostrzegłem, że pies, wijąc się i skomląc, patrzał ciągle w moje oczy i silił się widocznie dać mi do poznania, czego chce. Przy tej sposobności zauważyłem także, iż ruchliwość, blask i w ogóle cały wyraz psich oczu, zmieniały się do tego stopnia, iż najwyraźniej poznać było można, że te różne sposoby patrzenia musiały być spowodowane naprzód pomyśleniem, a następnie zamiarem okazania i wykonania czegoś. Gdy bowiem pies chciał jeść, patrzał inaczej, gdy chciał wyjść na dwór, patrzał inaczej, gdy się chciał bawić, patrzał inaczej i t. d.

Mając już niejaką pewność pod tym względem, doszedłem bardzo łatwo do zrozumienia, że się tak wyrażę, mowy psich oczu, gdyż potrzebowałem tylko psa pogłaskać i okazać mu, żem gotów zadowolnić jego chęci, a pies wnet pokazał, czego mu się chciało. W zamian za to, patrząc również psu w oczy, mówiłem i pokazywałem oczami i giestami to, czego znowu ja od niego wymagałem. I tak wzajemnie uczyliśmy się po dobremu. Ale skoro tylko nabrałem pewności, że pies rozumie, czego od niego wymagam, a jedynie przez lenistwo, lub z uporu wykonać tego nie chce, dawałem mu bezzwłocznie admonicyę za pomocą serdecznego przetrzepania skóry — i zmuszałem przez to psa do ślepego wykonywania moich rozkazów.

W taki sposób rozpocząłem i ukończyłem tresurę pierwszego mojego psa, którego sobie sam ułożyć postanowiłem. Rezultat tej pierwszej tresury był znakomity. Pies był tak dobry i roztropny, iż go „wykształconym“ nazywano. I nie dziw wcale, że zasłużył sobie na tak niezwykłe miano, gdyż był to pies rzeczywiście rzadki, albowiem, oprócz piękności i dobroci pod każdym względem, łączył w sobie jeszcze szczególniejszą psią gracyę, tak, iż przyjemnie było patrzeć na niego, gdy z powagą i nadzwyczajną dokładnością wykonywał wszystkie rygory pokojowej i polowej tresury.

Psa tego darowałem następnie mojemu bratu, który go we dwa lata później, będąc w pasyi, za wypowiedzenie posłuszeństwa przy takiej okoliczności, przy jakiej każdy pies, prawie bez wyjątku, posłuszeństwo wypowiada — zastrzelił. Potem jednak przez długi czas porywczości swej niezmiernie żałował, gdyż psa tak dobrego nie miał już aż do śmierci.

Od chwili zauważania, że oczy u szczenięcia, ze względu na jego późniejszą pojętność i roztropność, wielką grają rolę, zaniechałem zupełnie poznawania dobroci psu po czaszce i jej wypukłościach, a ograniczyłem się wyłącznie na oczach. Jeżeli oczy u psięcia były ruchliwe, wesołe i ciekawie patrzące, natenczas nie zwracałem już uwagi na budowę czaszki, lecz byłem pewny, że pies będzie dobry i pojętny. Nigdy też nie zawiodłem się sądząc po oczach, podczas gdy psy z najlepszych miotów, z głową wielką i czaszką najregularniej zbudowaną, nawet z charakterystycznym, ku tyłowi głowy wysterczającym, wierzchołkowym ostrokątem, były częstokroć liche, warte chyba kilku szczypt prochu i ze 30 gramów ołowiu.

W miejsce psa, którego bratu odstąpiłem, wziąłem sobie znowu szczeniuka — a badając jego naturę, spostrzegłem u niego te same właściwości, co u psa poprzednio tresowanego. Wahałem się jednak jeszcze przez długi czas przypuścic, czyli pies, którego wykształca tresura, ma jakiś rodzaj myślenia, czy może kieruje się we wszystkiem tylko naturalnym popędem, tj. instynktem. Tego psa straciłem przy sposobności polowania na kaczki w szuwarach, gdzie, oddaliwszy się za daleko od czółna, zaplątał się i utonął.

Z kolei wziąłem sobie trzecie szczenię i to nawet bastarda, lecz nie wahałem się ani chwili je zabrać, ponieważ oczy jego powiedziały mi znacznie więcej, niż najcelniejsza rozprawa o zaletach psów objaśnićby mnie mogła. I teraz także nie zawiodłem się w moim wyborze, gdyż pies ten, nietylko pod względem siły wiatru i niezrównanej wytrwałości na trudy, zimno i gorąco podczas moich częstych wycieczek myśliwskich, ale także ślepem posłuszeństwem, nadzwyczajną pojętnością i roztropnością, prześcignął nietylko oba poprzednie, ale nawet wszystkie psy, jakie kiedykolwiek przedtem i potem miałem lub widziałem.

Psem tym — śmiało to mogę powiedzieć — nie kierowałem za pomocą zwyczajnych rygorów, lecz rozmawiałem z nim, jak z człowiekiem, często nawet szepcąc, a on mimo to rozumiał wszystko, nieraz zaś pojmował i to, co ktoś drugi do mnie mówił. Rozmawialiśmy tedy ze sobą i rozumieliśmy się najdokładniej bez względu na to, że każdy z nas mówił językiem sobie właściwym; ja przemawiałem po polsku, pies zaś odpowiadał mi, lub też czasem mówił sam z własnej chęci, swoim psim głosem, często bowiem do mimiki ócz dodawał jeszcze różne, cichsze lub głośniejsze wykrzykniki, które ja znowu dobrze rozumiałem, pomimo, iż ani opisać ich, ani naśladować nie byłbym wstanie.

Bliższe opisanie zalet tego psa pozostawiam na koniec, muszę bowiem wprzód powiedzieć nieco o innym psie, który mię pierwszy utwierdził w przekonaniu, że pies myśli.

Przypuszczam, że głównym powodem wywoływania myśli u psa są zjawiska i wrażenia, które mu pod zmysły podpadają, aczkolwiek powstawanie myśli i bez tej przyczyny nie jest wykluczone, gdyż zauważyłem kilkakrotnie, że pies objawiał chęć n. p. do polowania w takich warunkach, iż było absolutnie niemożliwe, aby tę chęć jakieś odpowiednie wrażenie wzroku, słuchu lub węchu wywołać mogło.

Pies ten, o którego zdolności myślenia naprzód mówić będę, był to zwykły kundys i stróż domu, mający wyżej roku. Kazałem go sobie sprowadzić do pokoju i zakazawszy, aby nikt nie ważył się bez mojej wiedzy dać mu co zjeść, zająłem się jego tresurą, jedynie w tym celu, aby się przekonać, czy też i ten murga bez wszelkiej psiej inteligencyi potrafi mię zrozumieć.

Przez kilka dni szło mi ciężko, jak z kamienia, ale potem, gdy pies poznał, że ani wycie, ani warczenie nic mu

nie pomogło, zbliżył się sam do mnie i zaczął, myrdając ogonem, łasić się; następnie usiadł, a liżąc ręce moje, patrzył mi w oczy i dawał do poznania, że już się poddaje. Wtedy zacząłem przemawiać do psa łagodnie i pogłaskawszy go, pokazałem mu, czego od niego wymagam.

Rozpocząłem odrazu od aportowania. Po kikurazowem pokazaniu, o co mi idzie, zrozumiał wreszcie i po kilku dniach aportował, jak wyżeł najczystszej rasy. Nauczywszy następnie mego kundysa jeszcze kilku sztuczek pokojowej tresury, zaprzestałem dalszego nauczania i zrobiwszy się milczącym, przeniosłem rolę nauczyciela na psa, mianowicie w tym duchu, żeby mi pokazał, co on sam z własnego popędu zrobić potrafi. Rozumie się samo przez się, że pies wówczas był nie całkiem syty, gdyż głód przy tresurze jest najlepszym pomocnikiem.

Skoro głód nerwy psiego umysłu pobudził do czynności, zaczął kundys podawać mi bez rozkazu różne przedmioty, jakoto: rękawiczki, laskę, trzewiki i t. p. Nie odbierając od psa tych rzeczy, kazałem mu odnosić je, mówiąc: „Połóż na miejsce!“ Po nieudałych próbach wrócił tedy pies, a usiadłszy przedemną westchnął i zaskomlił z cicha. Zapytałem więc: „Chcesz jeść?“ Pies dał mi poznać, że tak jest. Okazując mu zatem stół, na którym nie było nic do zjedzenia, oraz próżne ręce moje, powiedziałem: „Widzisz, że nie mam nic, chodź do kuchni!“ Przyszedłszy tam, pokazałem psu garnki stojące na kuchni i robiąc ponownie rękami taki sam ruch, jak poprzednio, rzekłem: „Widzisz, że nie ma i tu nic, bo jeszcze nie gotowe!“ Przy tej sposobności spostrzegłem, że pies, nie mogąc zrozumieć, dla czego mu okazuje pełne garnki, a jeść nic mu nie daję, przekrzywił głowę i silił się widocznie, aby mnie zrozumieć. Tłumaczyłem mu więc dalej: „To jeszcze nie wolno, i to nie wolno!“ Pies zrozumiał w końcu, lecz posmutniał, bo mu się jeść chciało, a widocznie pojąć nie mógł dlaczego nie wolno. Zwróciwszy się następnie do kucharki, kazałem jej przynieść drzewa, a potem zaraz podać objad. Gdy kucharka przyniosła drzewo, wziąłem parę polan, włożyłem je sam pod kuchnię, a pogłaskawszy psa, pocieszyłem go, że objad będzie zaraz gotów, poczem z psem poszedłem na nowo do pokoju. Przy objedzie dostał pies z moich rąk przeznaczoną dla niego porcyę, którą z wielkiem uradowaniem przyjął i skonsumował.

Dnia następnego, wśród takich samych okoliczności, przyszedł pies do mnie i dawał poznać, że czegoś chce. Na zapytanie: Czego? — pies pobiegł do drzwi, z czego dorozumiałem się, że chce wyjść na dwór. Otworzyłem więc drzwi i wypuściwszy go, patrzyłem za nim, nie spuszczając go z oka. Wyszedłszy z pokoju, pobiegł pies naprzód do kuchni, skąd za chwilę wypadłszy, poleciał pędem do komórki z drzewem, chwycił w pysk polano i zaniósł do kuchni, oddając je kucharce. Sam zaś wrócił napowrót do pokoju i, łasząc się koło mnie, okazywał wielkie zadowolenie, jakgdyby chcąc mi dać poznać, że pomyślał o tem, aby mnie co rychlej podano objad.

Otóż pytam się, czy takie zachowanie się psa mogło być wywołane instynktem, czy też było następstwem poprzedniego myślenia? Być może, że ktoś powie: „To instynkt wywołany głodem“ ale zważywszy przyczynowość — związek tego wszystkiego, co ten pies robił, wymagający logicznego wnioskowania i konkluzyi, — trzeba tu było czegoś więcej, niż prostego instynktu, a przynajmniej żywego zmysłu naśladownictwa, który nakazał psu zrobić to, co widział iż człowiek zrobił, chcąc mieć wczesny obiad. Kundys ten, ku uciesze kucharki, jeżeli czasem, za niewłaściwe zachowanie się w kuchni, dostał od niej potężne „lanie“, biegł zaraz do komórki i znosił drzewo do kuchni, w ten sposób ją przepraszając. Czasem wpadł do mnie do pokoju i skomląc skarżył się, a gdy się zapytałem: Czego? — dawał mi do poznania, abym szedł za nim i zawiodłszy mnie do kuchni, stawiał się odważnie, warczał i szczekał na kucharkę, a potem spinał się przednimi łapami na kuchnię, zaglądał do garnków, i nabrawszy widać przekonania, że potrawy jeszcze nie gotowe, wychodził spokojnie za mną i czekał na dworze cierpliwie, aż mu kucharka sama resztki potraw do zjedzenia podała.

Opisawszy zdolności kundysa, wracam znowu do mojego trzeciego psa wyżła, aby podnieść jego zalety i opisać niektóre ciekawsze epizody z życia tego psa. Wspomniałem już powyżej, że wyżeł ten, jako pies do polowania, był niezrównany. Lepszego psa nie miałem już nigdy. Był to prawdziwy towarzysz i przyjaciel w długiej mej kawalerskiej pielgrzymce życia; on jeden poznał gruntownie mój charakter i usposobienie, a zbliżał się do mnie zawsze z niekłamanem przywiązaniem, bez cienia fałszu i obłudy. Był to mój lekarz przyboczny, który czuwał nad mojem zdrowiem ordynując na wszelkie moralne i fizyczne dolegliwości swój uniwersalny i zawsze skutkujący środek — polowanie. Skoro tylko spostrzegł we mnie jakiś rozstrój, zaraz wspinał się na ścianę, pokazywał łapą strzelbę i tyle dokazywał, żem prawie nigdy radą jego nie pogardził. Był to mój obrońca, sługa najwierniejszy i stróż opiekuńczy, który mię często przed niebezpieczeństwem ostrzegał — ba! powiem wreszcie, że był nieraz moim mentorem, który mię na polowaniu pouczał, jak mam stawać do strzału — a czasem posuwał swoją mentorską powagę aż po za granicę zwykłej roztropności zwierzęcej i powstrzymywał mię od popełnienia szalonego głupstwa. W takich to, rzadkich zresztą chwilach gwałtownego uniesiania, — spotykawszy się z pytającym wzrokiem psa, — doznawałem zaraz wstydu i upokorzenia, że pies okazuje więcej rozsądku, niż ja — i w tej chwili miarkowałem swe słowa i czyny. Na udowodnienie wszystkich tych niezwykłych zalet owego psa, ośmielę się przytoczyć parę przykładów.

Razu jednego wybierałem się na polowanie na przepiórki, a chcąc się przekonać, czyli pies w tym kierunku okaże swoją roztropność, zacząłem, w celu obałamucenia psa, udawać rozgniewanego. Rzucałem różnymi przedmiotami o ziemię, stąpałem gwałtownie, biłem pięścią w stół, poczem, przewiesiwszy torbę przez ramię, chwyciłem za strzelbę i ruszyłem z pokoju, nie biorąc z umysłu czapki na głowę. Widziałem bardzo dobrze, że pies, stanąwszy na progu i zlustrowawszy mię, nie chciał wyjść z pokoju, lecz owszem, patrząc po za mnie, zamierzał wrócić do stołu, gdzie leżała czapka. Aby tego niedopuścić, krzyknąłem donośnym głosem: „Naprzód!“ Pies, przyzwyczajony do ślepego wykonywania rozkazów, ustąpił wprawdzie i ruszył naprzód, ale w furtce ogródka, którym dom był okolony, zagrodził mi drogę po raz drugi. „Naprzód!“ krzyknąłem znowu. I znowu pies poszedł naprzód, lecz co kilka kroków stawał, oglądał się, zwracał się nawet całkiem i stając naprzeciw mnie, patrzył mi w oczy tak znacząco, że nie mogąc już dłużej udawać zapytałem: „Czego chcesz?“ Skoro pies usłyszał to zapytanie, puścił się galopem i, mijając mię, chciał wrócić do domu, lecz rozkaz: „Nazad!“ zatrzymał go w miejscu. Zapytałem tedy ponownie: „Czego chcesz?“ Wtedy pies zbliżył się do mnie i, podniósłszy łeb do góry, pokazywał oczami na moją głowę. Udałem, że nie rozumię i ruszyłem ramionami przecząco. Wówczas pies wydał z siebie jedno, krótkie,

przyciszone i opisać się nie dające szczeknięcie, podobne nieco do szczeknięcia, jakie psy, kiedy niekiedy, we śnie z siebie wydają. Lecz i to nic nie pomogło, bo udając, że go nie rozumię, powtórzyłem niecierpliwie: „Czego chcesz? pokaż!“ Usłyszawszy to zapytanie i rozkaz, podskoczył pies w górę i dotknął przednią łapą mojej głowy. Ja zaś, macnąwszy się ręką po głowie, rzekłem: „Aha! zapomniałem czapkę, więc przynieś!“ Pies zwrócił się natychmiast i pobiegł do domu, gdzie poprzednio nakazałem, żeby na wypadek, gdyby sam powrócił, nie otwierano mu drzwi do pokoju przez dłuższy czas, a to dla tego, iż chciałem się przekonać, jak sobie w tym wypadku postąpi. Gdy pies znalazł drzwi zamknięte, zaczął naprzód spinać się na drzwi i bić łapami po klamce, lecz widząc, żo to nie skutkuje, wybiegł na dwór, stanął na dwóch łapach i zaglądając przez okno do środka izby, musnął także łapą po szybie — a poznawszy, że i tędy do pokoju dostać się nie można, wrócił znowu do drzwi i zaczął tak przeraźliwie wyć, że w końcu zmuszony już był służący przybiegnąć i drzwi mu otworzyć. Pies wpadł do pokoju i porwawszy czapkę moją w pysk, przyniósł mi ją z wielkiem ukontentowaniem.

Możnaż więc takie postępowanie psa nazwać instynktem? Nie, nie mogę się oprzeć przekonaniu, że zwrócenie uwagi mojej przez psa na brak czapki, musiało przecież być wynikiem jego myśli. Instynkt bowiem, jak przypuszczam, powinien był zniewalać go do pospiechu, aby czemprędzej zapolować, a nie wstrzymywać się, narażać na mój gniew i na gonienie po czapkę. (Dok. nast.)

KORESPONDENCYE.

Mikuliczyn, w sierpniu 1891.

(Wycieczka Arcyksięztwa.)

D. 4. b. m. wybrał się arcyksiążę Leopold Salwator wraz z dostojną swą małżonką, arcyksiężną Blanką, damą nadworną hrabiną Puppi i kapitanem Preglerem na kilkodniową wycieczkę w góry Nadworniańskie, a mianowicie do Jamny, Mikuliczyna i Worochty, które to okolice najpiękniejszym partyom w Szwajcaryi się równają i niebawem staną się przystępnymi dla najobszerniejszej publiczności, gdyż w okolicy tej osobną właśnie kolej trasują. Przy sposobności tej wycieczki urządzili miejscowi zarządcy lasów tutejszych, pod kierownictwem radcy dworu Ludwika Diemitza, delegata rządowego do odbioru nowo nabytych dóbr Nadworniańskich, parę polowań dla dostojnych gości.

Arcyksięstwo przybyli do Mikuliczyna d. 5. b. m. i po przenocowaniu w domu tutejszego zarządcy lasów, p. Hirscha, wybrali się nazajutrz rano do kniei „Żeniec“ zwanej, w której, mimo czarnej stopy, trzy jelenie obtropione zostały. Nagonka przepędziła miot obtropiony, lecz jelenie nie wyszły na strzał, gdyż w skutek obszerności miotu nie można było linii należycie szczupłą liczbą myśliwych obsadzić. Niespodziewanie znalazły się w tym miocie także c z t e r y n i e d ź w i e d z i e, t. j. stary myś, niedźwiedzica, i dwa piastuny. I one wszakże zdołały się wymknąć. Niedźwiedzica wyszła na flanki, gdzie tylko gajowi byli ustawieni. Jeden z gajowych niezłym strzałem zranił ją dość silnie. Arcyksiążę, dowiedziawszy się o tem, mimo uciążliwej bardzo drogi wśród skał i łomów, udał się w kierunku danego strzału. Tutaj ujrzał, że raniona niedźwiedzica mocno farbuje, więc mimo grożącego niebezpieczeństwa, udał się za farbą, ale nadzwyczajne trudności terenu zmusiły go niebawem do zaniechania pościgu za postrzałkiem.

W dalszych miotach dnia tego i następnego wyszły w kilkunastu partyach dziki na linię strzelców, a między tymi i duży odyniec. Arcyksiążę nie był tak szczęśliwym, ażeby przyjść do strzału, inni myśliwi wszakże ubili pięć warchlaków, z których kapitan Pregler dwa położył.

Z całej tej wycieczki był arcyksiążę bardzo zadowolony, mimo że nic nie ubił. Widać w tem usposobienie prawdziwego myśliwego, którego nie zraża niemożność dania strzału, gdyż sam widok pięknych kniei i wzniosłej natury naszych Karpat prawdziwą sprawiają mu rozkosz.

Wspomnieć tu należy, że arcyksiążę i arcyksiężna, oraz hrabina Puppi i kap. Pregler odbyli całą czterodniową wycieczkę wierzchem, na koniach huculskich. Paniom służyły zwykłe terlice góralskie, wyścielone nieco kocami, za siodła damskie, a mimo to arcyksiężna była prawdziwie zachwycona całą podróżą, chwaląc ostrożny temperament i bezpieczeństwo jazdy na hucułkach. Byłoby zaiste pożądanem, ażeby chowem tej pięknej i wytrwałej rasy koni troskliwiej się i ministerstwo i nasze towarzystwa rolnicze zajęły.

Po zakończeniu wycieczek łowieckich, d. 8. b. m., odbył się obiad u zarządcy lasów, p. Schwarca w Dorze, skąd dostojni goście udali się do Stanisławowa, a następnie z powrotem do Lwowa. *G.*

Kraków, d. 20. sierpnia 1891.

(Wyprawa do Anatolii.)

Znany z swych wypraw myśliwskich p. Michał Brzostowski, organizuje małą, na sześciu ludzi obmyślaną wyprawę myśliwską do Anatolii, a mianowicie do wilajetu Koniah, gdzie od wielu lat mieszka kuzyn jego, wyborny myśliwy, posiadający psy łowne, znający język, kraj, ludzi, knieje tamtejsze i najskuteczniejsze sposoby polowania.

Koniah należy do najbogatszych w zwierzęta łowne okolic Małej Azyi. Od strony Dynaru są góry w trzeciej części skaliste i nagie, na których są koziorożce, kozice, antylopy i kuropatwy różowe. W dwóch trzecich częściach pokrywa te góry las, w którym przebywają lamparty, rysie, żbiki, niedźwiedzie, jelenie, dzikie barany (muflony) itd. Po drugiej stronie Koniah'u rozpościera się ogromna pustynia słona, gdzie są dropie i pardwy, a na jeziorach dużo ptactwa wodnego i błotnego. Porzecza i gąszcza mirtowe dostarczają do syta jeszcze innego łownego i drapieżnego ptactwa.

P. Brzostowski posiada już firman i pozwolenie władz otomańskich na polowanie, przewóz broni, patronów itd., nadto zaopatrzył się w namiot, kuchnię podręczną, prowiant w konserwach, aparat fotograficzny migawkowy i wszystko to, co dla sześciu uczestników wyprawy może być potrzebnem. Wyprawa posiadać będzie także przybory, narzędzia i materyały, potrzebne do preparowania ciekawszych okazów.

Uczestnicy wyprawy mają wyjechać w pierwszych dniach października, a p. M. Brzostowski radby na wolne jeszcze w wyprawie miejsca dwóch lub trzech wytrwałych myśliwych pozyskać. (Patrz inserat). *Z.*

Bereska, 9. sierpnia 1891.

(**Ubita niedźwiedzica.**)

W lipcu, w lesie Otrytem zwanym, w gminie Skorodne w starostwie Liskim, zabili Józef Płatek i Michał Gbur niedźwiedzicę. Wezwani przez chłopów, aby zasiedli w nocy na dziki, które im znaczną szkodę robiły, poszli wyż wymienieni do Otrytu i tam wyszła do nich ogromna niedźwiedzica, do której obydwa razem strzeliwszy — zabili ją na miejscu.

W tym roku zwierzyny będzie dużo — przepiórek i chruścieli słychać wiele, a nawet dzików więcej będzie niż zwykle. Robią one wielkie szkody w naszych okolicach.

Teofil Żurowski.

Stryj, w sierpniu 1891.

(**Ciąg dubeltów.**)

Długo oczekiwany przez myśliwych sezon „dubelci“ nadszedł nareszcie. Mokra wiosna i deszczem przeplatane lato rokowały mu najświetniejsze nadzieje — w rezultacie jednakże nie można go nazwać zbyt świetnym, gdyż nie odpowiedział oczekiwaniom, jakie myśliwi tego roku żywili. Dubelty istotnie były wszędzie, ale że wszystkie łąki były mokre i żeru było wszędzie podostatkiem, więc nigdzie nie zapadały w większych ilościach, lecz rozdrabiały się na większe przestrzenie, tak, że nigdzie ich dużo nie było. Polowanie nie przynosiło więc tych rezultatów, jakto po inne lata bywało.

Pierwszego dubelta zabiłem tego roku dnia 22. lipca na błotach w Zapłatynie obok Stryja — ale też tylko jednego. Następnego dnia ubiłem ich jeszcze 7 sztuk. O ile mi wiadomo, padło w tym sezonie na tych błotach, pomimo gorliwego szukania kilku dobrych myśliwych, zaledwo 20 sztuk.

Nie ziściły się więc nasze nadzieje — dubeltów na naszych błotach było w ogóle mało.

Zniechęcony do błót Stryjskich, szukałem dubeltów gdzie indziej, mianowicie w rewirach Towarzystwa myśliwych św. Huberta nad Dniestrem. I tu ich jednak nie wiele zdybałem. Całodzienne polowanie przynosiło w rezultacie zaledwo 10 do 15 sztuk — jak na dubelty to za mało.

Wyjechałem więc na kilka dni w okolicę, gdzie jak fama głosi dubelty zimują, t. j. nad granicę rosyjską nad Styrem do Sieńkowa. Polowałem przez 3 dni t. j. od 6. do 9 sierpnia — zdybywałam jednakże tylko sporadycznie rozsiane pary dubeltów, które mój Hektor gorliwie wyszukiwał a ja sumiennie do troków przyczepiałem. Ogółem zabiłem w 3 dniach 40 dubeltów.

Polowanie na inne ptactwo błotne i wodne jest wszędzie prawie dobre. Kaczek, krzyżówek i cyranek dosyć — krzyków setkami spotyka się na błotach. Przepiórek również dużo — o kuropatwach nic jeszcze powiedzieć nie można, gdyż polowanie dopiero się rozpoczęło. *B. W.*

Z Litwy, w sierpniu 1891.

(**Zagryziona wadera.**)

W majątku pana L. D. Żybartowszczyźnie, w Grodzieńskiej gubernii, zdarzył się wypadek, któremu podobnego nie pamiętają nasi starzy nawet myśliwi.

W lutym pewnego poranku oznajmiono panu L. D., że za stodołą leży wilk zagryziony. Pan D., dobry myśliwy, nie wierzył zrazu, gdy jednak świadek przy swojem się upierał i zapewniał: „Panoczku, daliboh, heta wołk, ciż użo ja nie paznaju jaho?“ — poszedł sam i rzeczywiście znalazł, lecz co dziwniejsza, wilczycę. Liczne ślady na śniegu wskazywały walkę zaciętą; śnieg na przestrzeni morga był zbity i zdeptany. Pan D. zaczął śledzić, i pokazało się, że walka wszczęła się między wilkami przy ścierwie, o parę wiorst od Żybartowszczyzny. Stamtąd, walcząc i farbując ciągle, wilki zapędziły starą waderę aż pod stodołę Żybartowską, gdzie ją zagryzły. Gardło i wnętrzności były poszarpane, i strasznie pogryzione.

Jaki mógł być powód tego? Pytałem się kilku wytrawnych naszych myśliwych litewskich, i żaden nie pamięta, by wilki własną samicę zagryzły.

Opierając się na ich zeznaniu, ośmieliłem się fakt powyższy opisać dla „Łowca“. *J. O.*

KRONIKA.

Niedźwiedzie i wilki są ciągle w znacznej liczbie w Bośni i Hercegowinie tępione. Szczególniej południowe, bardzo lesiste okolice Bośni, obfitują w drapieżców. Wedle dat, urzędownie zebranych, ubito w obu tych okupowanych prowincyach w r. 1886 niedźwiedzi 29, wilków 129 (w tem 72 młodych), w r. 1887 niedźwiedzi 44, wilków 156 (w tem 53 młodych), w r. 1888 niedźwiedzi 39, wilków 125 (w tej liczbie 53 młodych), w r. 1880 niedźwiedzi 33, wilków 120 (40 młodych), w r. 1890 niedźwiedzi 43, wilków 84 (36 młodych). Z liczby tej padło 24 niedźwiedzi i 105 wilków od trutki, inne zastrzelono, młode wilczęta zaś wydobywano z gniazd i duszono.

Najbardziej obfitującymi w łowne zwierzęta są powiaty Foka, Rogatyca i Serajewo, a szczególniej olbrzymie lasy Rogojskie i góry Jaworzniańskie. Na szczytach Trnowa zdybuję się także kozice. Rząd serajewski popiera chętnie myśliwskie wycieczki turystów do krajów okupowanych i w własnym zarządzie pozakładał schroniska w najważniejszych i najpiękniejszych okolicach górskich.

Wściekły wilk. Z powiatu Winnickiego, na Podolu, donoszą o napadzie wilka wściekłego. Wpadł on pomiędzy konie na pastwisku nieopodal wsi Łukowa. Rzecz działa się w nocy. Na ratunek koniom pospieszył pastuch Ilczenko i uderzywszy wilka kosturem po łbie, ogłuszył go, sam zaś skrył się na drzewo. Wilk wszakże, przyszedłszy do przytomności, ściągnął z drzewa pastucha, strasznie go pokąsał i uciekł do lasu. Tu o świcie spotkał 13-letnią dziewczynę, która pasła krowy i zadał jej 10 ran, potem dopędził całą rodzinę włościan Martyniaków, złożoną z trzech osób i pokaleczył je najokropniej, powyrywawszy oczy i skórę z twarzy, nareszcie gdy przybiegła pomoc ze wsi, wilk, zanim uległ, pokąsał jeszcze troje ludzi. Wszystkich pokąsanych, w liczbie 8-u osób, odwieziono na stacyę bakteryologiczną do Odessy.

Pijany niedźwiedź *Pietierburgskij Listok* podaje z Wilna opis katastrofy, jaka świeżo się zdarzyła w dobrach Juchanowszczyzna. Właściciel tych dóbr O., przed dwoma laty polując w gub. grodzieńskiej, ujął młodego całkiem niedźwiadka, którego wziął do siebie dla oswojenia. Podrosły jednak zwierz od pewnego czasu zaczął płatać różne figle, które przybierały coraz większe rozmiary, w miarę rozwijania się jego sprytu. Jeden ze służących, wziąwszy kiedyś niedźwiedzia do karczmy, dał mu do spróbowania wódki, która tak mu zasmakowała, że następnie sam niedźwiedź do karczmy poszedł, a zapamiętawszy dobrze, skąd mu trunek podano, przewrócił beczkę z wódką i odbiwszy takową, dobrze się napił. Żyd karczmarz z rodziną bronił swej własności; rozjuszony wówczas zwierz trzepnął gospodarza łapą

tak silnie, że ten na miejscu życie zakończył; to samo stało się z synem karczmarza. Żona zaś jego i jedna z córek zostały mocno pokaleczone. Obecni temu wszystkiemu włościanie początkowo ze śmiechem spoglądali na odbywającą się w ich oczach scenę, dopiero zmiarkowawszy, że to nie przelewki, pobiegli po topory, widły itp., ale powróciwszy z nimi, znaleśli już dwa trupy pokaleczone, dwie kobiety poranione i niedźwiedzia taczającego się i kompletnie pijanego. Zawiadomiony o tem p. O. pospieszył niezwłocznie na miejsce i wystrzałem z fuzyi zabił swego wychowańca.

Koziorożca, jak wiadomo, w Alpach już prawie wytępionego, usiłują w Szwajcaryi sztuczną kulturą napowrót rozmnożyć. W Langenberg, niedaleko Bendlikonu, założył leśniczy Orelli przed kilku laty zwierzyniec, w którym kolonia koziorożców jest utrzymywaną. Zwierzyniec obejmuje około 50 hektarów, obfituje w wodę, skaliste rozpadliny i leśne ostoje, ale mimo to nie sprzyja rozwojowi koziorożców. Członkowie Towarzystwa „Diana“, którzy kolonię tę w maju b. r. zwiedzali, znaleźli ją w ogóle w stanie dość nędznym. Wymaga ona, jak się zdaje, jeszcze wyższego położenia i nagich a wysokich skał, z którymi natura koziorożca się zrosła. Wskazują na to same koźlęta w zwierzyńcu, które bezustannie wspinają się po dachu swej stajenki i najchętniej na szczycie jego przebywają.

Chorobliwe przekształcenie. W lipcu t. r. ubito w Czechach kozła, który zamiast parostków miał na głowie istną kulę rogową, t. z. perukę, o średnicy dochodzącej $7\frac{1}{2}$ centymetrów. Widocznie w skutek tej chorobliwej narośli było lewe ślepie znacznie zamglone; kozioł zresztą, należycie wykształcony i łojny, ważył $18\frac{1}{2}$ kilogramów.

Ogryzanie rogów. W celowieckiem piśmie łowieckiem Waidmannsheil toczy się spór, co może być powodem, że rogi, zrzucone przez jelenie, znachodzi się częstokroć poobgryzane. Jeden z leśniczych zwierzyńcowych opowiada co następuje: W ciągu całej zimy przychodził dzień po dniu do żeru dziesiątak z nadzwyczaj regularnie wykształconym wieńcem. Czuwałem więc, aby mieć te rogi, skoro je tylko zrzuci. D. 7. marca miał jeszcze rogi, następnego dnia nie było go przy karmie, a d. 9. marca przyszedł już bez rogów. Poszedłem więc szukać rogów i znalazłem je d. 10. marca razem na śniegu pod świerkiem. Lecz niestety, końce korony były u obu łodyg prawie do połowy ogryzione. A trafiało mi się to już częściej, że rogi bardzo ogryzione znajdywałem, i jestem tego zdania, że to jeleń sam, zrzuciwszy rogi, czasem je ogryza.

Redakcya Waidmannsheil'u przyjęła to przypuszczenie z niedowierzaniem i mniema, że w spostrzeżonych wypadkach sprawcami ogryzienia były myszy, wiewiórki lub inne gryzonie.

Tymczasem jeden z myśliwych z północnego Tyrolu potwierdza, ż myśliwi tamtejsi zrobili już częściej spostrzerzenie, że jeleń, zrzuciwszy rogi, zaczyna je natychmiast ogryzać i że rzadko zdarza się tam znaleźć większe rogi, któreby nie były tu i owdzie ponadgryzane

Do tego przybyła jeszcze korespondencya jakiegoś myśliwego z Niższej Austryi, który twierdzi, że rogi u jeleni bywają częstokroć jeszcze przed zrzuceniem ich przez łanie ogryzane. Korespondent ów miał, jak twierdzi, przez wiele lat sposobność przypatrywania się, jak czasem łania, już to położywszy się koło rogacza, jużto stojąc, rogi jego, a mianowicie końce korony, zębami obrabia. Trwa to całymi godzinami, a zdaje się sprawiać jeleniowi przyjemność i wprowadzać go w pewien stan senności. Strzelano w owym zwierzyńcu łanie, które temu brzydkiemu zwyczajowi hołdowały, w mniemaniu, że to tylko wyjątkowa skłonność — lecz zawsze pojawiały się nowe, mające apetyt na wieńce swych małżonków. Trafiały się jednak jelenie, które nie znosiły tego rodzaju umizgów ze strony łani; te zrzucały rogi całkiem nieuszkodzone i znajdowano je też później bez wszelkich śladów ogryzienia. Zdaniem tego badacza, który na dowód przysłał redakcyi Waidmannsheil'u okaz wieńca, ogryzionego już na głowie, są to wypadki sporadyczne, będące wynikiem chorobliwości a może i warunków sztucznej hodowli jeleni po zwierzyńcach.

Nam się zdaje, że może się to trafiać, tak jak w rodzie ludzkim, w pewnej fazie rozwojowej kobiet, niedość racyonalnie pod względem fizycznym wychowywanych, apetyt na mur, kredę, ołówki a nawet drzewo ławek szkolnych. Mimo iż łania nie ma odpowiedniego uzębienia, ani nie wiadomo do czego jej organizmowi to ogryzanie mogłoby być przydatne — przecież nie można z góry twierdzić, ażeby anomalia taka nie miała istnieć w związku z wadliwościami istnienia, wywołanymi przez niewolę i sztuczną hodowlę. Czy jednak robi to tylko łania, czy może i sam rogacz, zdegenerowany w niewoli i potrzebujący gotowego materyału do wytworzenia nowych rogów — jest jeszcze zawsze kwestyą nierozstrzygniętą.

Zachodzi nadto pytanie, czy spostrzegł kto coś podobnego na wieńcach jeleni lub kozłów, żyjących w stanie dzikim. Spostrzeżenia doświadczonych myśliwych byłyby w tym względzie pożądane.

Wyścigi gołębi pocztowych odbyły się dnia 26. lipca na przestrzeni pomiędzy Krakowem a Wiedniem. Coroczne te wyścigi organizowane są przez austryacko-węgierskie Towarzystwo chowu ptaków w Wiedniu. Nagrody, ze względu na trudność tegorocznego lotu (413 kilometrów) były tym razem bardzo wysokie. Pierwszą nagrodę wyznaczył z własnej szkatuły cesarz, inne pochodziły od ministeryum wojny. W wyścigach wzięło udział 51 gołębi, będących własnością członków Towarzystwa. Ćwiczono je co tydzień od dnia 25. kwietnia; dnia 12. lipca wysłano je z Wiednia do krakowskiej komendy fortecznej tutaj po czternastu dopiero dniach, w niedzielę o godz. 5 rano, puszczono je na wolność. Pogoda była mniej pomyślna dla skrzydlatych posłańców, ponieważ niebo przez cały dzień było zachmurzone, a kierunek wiatru przeciwny i zmienny. Pomimo to o godz. 12 min. 20, a zatem po 7 godzinach i 20 minutach, skonstatowano w Wiedniu przybycie pierwszego gołębia; za nim przybyły inne w pewnych odstępach czasu. Lot gołębi najchyższych wynosił więc przeszło 57 kilometrów na godzinę, czyli niemal kilometr na minutę.

Próby z gołębiami pocztowymi czynili tymi dniami także przedstawiciele towarzystw gołębich we Francyi ze szczytu wieży Eiffel. Doświadczenia te czynione były przez p. Perollet, sekretarza stowarzyszenia „La Boussole“. Gołębie wytresowane były do lotu na wielkich wysokościach, dla zabezpieczenia ich podczas wojny od kul nieprzyjacielskich. Próby wypadły nadzwyczaj pomyślnie. Następnie czyniono doświadczenia co do wagi, jaką gołąb może unieść w locie. Każdemu z ptaków przywiązano do ogona paski papieru z balonikiem, napełnionym po wietrzem, a ważącym 250 gramów. Przy puszczaniu się do lotu, ciężar ten zawadzał widocznie gołębiom, lecz gdy się uniosły wyżej, porfunęły raźno i znikły w obłokach.

Gołębie pocztowe. D. 10. sierpnia pod wieczór puściło się dwóch poruczników armii austryackiej balonem z Wiednia w celach badań naukowo-militarnych. Mieli oni między innymi parę gołębi pocztowych. Z wiatrem sprzyjającym lecieli zrazu ku Morawie, lecz nagle porwała ich gwałtowna burza i rzuciwszy przez cały Szląsk górny uniosła aż za Olkusz w Królestwie Polskiem, gdzie nazajutrz rano wylądowali. Podróż trwała 12 godzin i oddaliła ich o przeszło 100 mil od Wiednia. Wysiadłszy na ziemię pod Olkuszem, wypuścili oficerowie oba gołębie z listami do Wiednia. Zaledwie jednak ptaki wzbiły się w powietrze, uderzył na nie jastrząb, który je ścigał dość daleko w kierunku wręcz przeciwnym od tego, w jakim miały lecieć. Zdaje się, że jeden z gołębi padł ofiarą drapieżnika, drugi zaś, dopiero po dwudniowej podróży, w stanie bardzo politowania godnym powrócił do Wiednia z listem.

Precz z wróblami! Zarząd okręgu Münden w Hanowerze rozpoczął energiczną wojnę z wróblami. Ogłoszone zostało postanowienie, na mocy którego kasy rządowe wypłacają po fenigu za każdego zabitego wróbla. Zwolennicy tych ptasząt powstają przeciwko rozporządzeniu, twierdząc, iż wróbel znaczną przynosi korzyść, gdyż spożywa wielką ilość owadów. Zarząd okręgu w odpowiedzi na to ogłasza badania przyrodników, którzy na zasadzie badania zawartości żołądków wróblich, orzekli o szkodliwości tego ptactwa. Badania wogóle doprowadzają do wniosku, iż w pożywieniu wróbla pokarm roślinny przeważną gra rolę. W ostatnim tylko razie zwracają się wróble do owadów i to po największej części łowią pożyteczne pajączki i chrabąszcze. Szczególniej pisklęta w gniazdach karmione bywają przeważnie ziarnem, tak np. na dwanaście gniazd badanych, zaledwie w jednem zawartość żołądków piskląt wykazała obecność owadów. Jeszcze szkodliwsze są wróble w porze wiosennej, gdy zjadają masy pączków roślinnych.

Scena w menażeryi. Wesołe intermezzo wydarzyło się niedawno temu w Koburgu w menażeryi Elbecka. Podczas produkcyi słonia jeden z obecnych wysunął się za bardzo naprzód. Słoń, przyzwyczajony otrzymywać chleb, cukier etc., wyciągnął trąbę, ale zamiast pożądanych łakoci, dostał małego klapsa. W tej chwili wyleciał do góry jakiś czarny przedmiot i upadł aż na ostatnie miejsce. Była to peruka owego pana, którą obrażony słoń zdarł mu z głowy i rzucił do góry.

Wypadek jakich mało. Z Nowego Jorku donoszą o okropnej scenie, jaka się w drugiej połowie z. m. odbyła w zwierzyńcu parku Lincolna w Chicago. Pewna rodzina z Minneapolis zgromadziła się tu dokoła okratowanego dołu z niedźwiedziami brunatnymi. Ojciec, aby jej ułatwić przyjrzenie się zwierzętom, podniósł w rękach ponad kratą 3-letnią córeczkę, podtrzymując ją głównie za sukienkę. Nagle ta ostatnia oberwała się i dziecko wpadło do głębokiego na 15 stóp dołu, tak jednak szczęśliwie, iż na grzbiet jednego z niedźwiedzi, który uderzeniem tym wystraszony cofnął się w róg klatki. Upadek dziecka przyjęli obecni krzykiem zgrozy, zamilkli jednak natychmiast, przerażeni, bo oto ojciec dzieciny, bez namysłu, przechyliwszy się przez ogrodzenie, wskoczył za nią do dołu, podniósł ją z ziemi i za całą broń mając w ręku laskę, stanął w rogu klatki. Wśród widzów zapanowało zamieszanie nie do opisania, na razie nie wiedziano, co począć, wreszcie jeden ze strażników pobiegł po broń do oddalonego o 10 minut drogi budynku, podczas gdy publiczność rzucaniem kamieni na niedźwiedzie, a było ich cztery, starała się odwrócić ich uwagę od stojących w klatce ofiar. Jeden z niedźwiedzi zbliżył się do nich na dwa kroki i podniósł się na łapy mrucząc, uderzenie jednak laski w nozdrza zmusiło go do odwrotu. Obrona ta wszakże na długo wystarczyć nie mogła, a z każdą chwilą coraz bardziej drażnione zwierzęta, jęły zbliżać się do nieszczęśliwych. W tej chwili spostrzegł uwięziony w klatce leżący na ziemi pręt żelazny, zaopatrzony na końcu w hak, szybkim ruchem podniósł go, a uczepiwszy na haku ubranie dziecka, drugi koniec pręta podał widzom okropnej sceny. Tym sposobem dobyto dziecinę bez szwanku, niedźwiedzie wszakże natarczywie rzuciły się na ojca i mimo rozpaczliwej obrony, podarły na nim ubranie w szmaty, zanim jednak zdążyły rozszarpać go, podano mu pręt ponownie i dobyto z jamy. Gdy strażnik nadbiegł z bronią, już nie była potrzebną.

Słoń przedsiębiorczy. Słoniowi z menażeryi Eisfeldta tak się podobało w Mińsku, że w chwili, gdy menażerya udawała się do Smoleńska, wyrwał się przewodnikom i udał się na własną rękę na maleńki spacer po mieście. Zachowywał się przytem wcale niegrzecznie, bo rozbił odpowiednią ilość bram i okien, aby zaspokoić ciekawość swą, co się dzieje w rozmaitych domach i na różnych podwórkach. Wszelkie starania właściciela cyrku i jego ludzi, aby krnąbrego doprowadzić do porządku, spełzły na niczem, a jedyny człowiek, który byłby mógł coś z nim zrobić, tj. dozorca słonia, zastrajkował, ponieważ Eisfeldt nie chciał mu powiększyć gaży. Dozorca wyzyskał sytuacyę i gdy Eisfeldt zgodził się na jego propozycyę, przyszedł z kontraktem w kieszeni i butelką wódki ku słoniowi, podał mu butelkę, którą tenże wypróżnił, ażeby potem dać się spokojnie ująć dozorcy i powędrować przy jego boku.

Małpa mordercą. W Aix-en-Provence we Francyi małpa zabiła dziecko jednomiesięczne. Rodzina Lavieille, do której małpa należała, wyszła na spacer nad brzeg rzeki Arc i zabrała ją ze sobą. Ponieważ znaną była ze swojej złośliwości, została przywiązaną do drzewa. Wkrótce o niej zapomniano. Mężczyźni zajęli się łowieniem ryb, kobiety poszły do lasu, a tymczasem sprytny „Coco“ rozwiązał sznurek i zobaczywszy dziecko śpiące w kołysce, rzucił się na nie i przegryzł gardło. Śmierć była natychmiastową i zbrodniarz, czując winę, uciekł w krzaki. Dopiero na drugi dzień złapano go i zastrzelono.

Zwierzęta w sądach. Sędziowie angielscy każą często przyprowadzać zwierzęta do sądu. Tak np. w jednej ze spraw skarżący dowodził, iż świekra jego, jadąca powozem, wypadła z wehikułu i potłukła się srodze, gdyż konie powozu, przestraszone widokiem przechodzącego słonia, poniosły. Sędzia kazał sprowadzić słonia na podwórze sądowe, a przekonawszy się dowodnie, iż widok zwierzęcia w samej rzeczy mógł wpłynąć drażniąco na konia, skazał właściciela gruboskórego czworonoga na 1 szyling kary. Innym znowu razem hypochondryk jakiś chciał wymówić lokatorowi swemu mieszkanie za to, iż ten ostatni posiada psa „wielce dla ogółu lokatorów niebezpiecznego.“ Sędzia kazał sprowadzić psa do sądu, a przekonawszy się dowodnie, iż psina jest charakteru wielce łagodnego, sprawę odrzucił. Niekiedy zdarzają się w sądach angielskich wyroki iście salomonowe. Tak np. w Westminsterze miss Tanner oskarża mistra Isaaksa, iż przywłaszczył sobie jej papugę. „Sprowadźcie tu papugę“ — rzecze sądzia. Sprowadzają papugę. „Panie Isaaks, proszę bliżej — mówi sędzia — pogłaskaj pan ptaka“. Oskarżony przybliża się do klatki nieśmiało, wyciąga rękę i... otrzymuje srogi raz dziobem. „A pani, miss Tanner?“ Miss podchodzi z kolei do ptaka, który trzepocze skrzydłami z radości. Oczywiście sprawa jest jasną, jak słońce, a miss Tanner jest prawą właścicielką papugi. I tak cnota miss Tanner odnosi tryumf, a niecnotliwy Isaaks płaci grubą karę.

O rozumie kawek opowiada nam jeden z urzędników lwowskich co następuje:

„Siedzieliśmy przy biurkach, gdy wtem zwróciło naszą uwagę przeraźliwe wrzeszczenie kawek z naprzeciwka. Przystąpiliśmy do okna, ażeby zbadać komisyjnie powód wrzasków, bo kawka, ptak herbowy Galicyi, wymalowana na gmachu naszej przełożonej władzy, tak demonstracyjnie wrzeszczeć nie powinna.

Cóż się pokazało? Oto w otworze, który powstał wskutek odgięcia blachy gzymsowej pomiędzy dachem a gzymsem, ustrzęgła ciekawa kawka, która nie wiedzieć poco na strych zaglądała. Otwór miał postać ostrego trójkąta, mogła więc kawka wejść łatwo u jego podstawy, ale wychodząc ze strychu, zapuściła się nieostrożnie w węższą część trójkąta i ustrzęgła. Głowa i jedno skrzydło wychylało się na zewnątrz, na ulicę, reszta ptasiego korpusu pozostała na strychu, i biedna kawka ani naprzód ani w tył ruszyć się nie mogła. Inne dwie kawki, siedzące na gzymsie, starały się ją wydobyć, ciągnąc za skrzydło — lecz to nie pomagało, owszem wciskało uwięzioną kawkę jeszcze bardziej, ból jej sprawiając — i to właśnie było powodem demonstracyjnych jej wrzasków.

Gdy operacya ta, kilkakrotnie powtarzana, do niczego nie doprowadziła, siedziały obie posilkujące kawki jakiś czas spokojnie, gawędząc po swojemu, a nareszcie odleciały.

Rozważaliśmy komisyjnie, co się dalej stanie i byliśmy pewni, że wnet przyleci tłum na pomoc uwięzionej kawce, która już i głowę i skrzydło na dół z umęczenia zwiesiła. Jakeśmy przewidywali, tak się stało. Wnet przyleciała hurma kawek, zbadała *species facti* i jęła radzić, poczem jedna z nowo przybyłych — zapewne inżynier zgromadzenia — weszła z łatwością przez szerszą część otworu i zająwszy pozycyę poza uwięzioną kawką, poczęła ją wypychać naprzód, lecz ukosem, w kierunku podstawy trójkąta. Ta operacya udała się istotnie... uwięziona kawka dostała się na gzyms, a strzepnąwszy skrzydłami, poleciała wśród radośnych wrzasków razem z swymi wyswobodzicielami.

Sprawdziwszy w ten sposób komisyjnie, że ptak herbowy Galicyi nie może być głupim, i że sobie w każdym wypadku pomoże — zasiedliśmy nazad do biurek.“

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak.** ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.